

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



W SALONIE  
Z wystawy „Sztuka”  
w Krakowie

J. MEHOFFER

## ZDZISŁAW DĘBICKI: MARGRABINY.

Nawiedziły mnie we śnie margrabiny moje—  
Na samotne mych marzeń zstąpiły pokoje  
Te cudne rozkosznice, zalotne i młode,  
Abym rzadką ich piękność słauił i urodę.

Z płócien, co stroją rzędem ściany mej komnaty,  
Zeszły cicho, a każda miała strój bogaty:  
Perukę pudrowaną, jedwabne robrony  
I naszyjnik, gwiazdami brylantów sadzony...

Uśmiechnęła się pierwsza rococo'wa pani,  
Pamiętna dwóch margrabiów, co, w niej  
rozkochani,  
Ostrzami szpad się starli, aby walką krwawą  
Do jej miłości kupić upragnione prawo...

W ślad za nią kroczy druga, wdzięczna, jako łania,  
Stworzona do pieszczoty i do miłowania—

Za nią dwór kiedyś szalał i topniały włości  
Szambelanów królewskich, żądnych jej miłości...

Trzecia, z niewinną minką młodego dziewczęcia,  
Do rydwanu swojego przykuwała księcia,  
Co na jej kaprys każdy i skinienie ręki  
Szedł, powolny, jak sługa, jak kochanek, miękki...

Tuż za nią idzie czwarta, w latach już dojrzała—  
Z duszy pięknej słyneła i z białego ciała,  
Które boskiej zjednało jej miano Wenery.  
Ukłonami mnie wszystkie powitały cztery...

I stałem, jak w olśnieniu, wpatrzony w zjawisko,  
Gdy nagle stary szpinet zabrzączał gdzieś  
blizko,

I cicho popłynęły menueta tony—  
Pochyliły się głowy, uniosły robrony,

I cztery margrabiny w takt muzyki słodkiej  
Zaczęły taniec płynny, marzący i wiotki,  
Wytworny w każdym ruchu i w każdym  
ukłonie,  
Jak niegdyś na królewskim tańczony salonie...

Szły wolno przeciw sobie, a w rytmicznym  
pląsie  
Ręce ich to się łączą, to znieacka rwą się,  
Aby za chwilę zbliżyć w uścisku na chwilę  
Cztery zwiewne postacie, barwne, jak motyle..

I długo tak ich białe peruki się snuły  
W takt melodyi rozkosznej, wabiącej  
i czulej,  
A księżyc im poświętał świecił srebrno-złotą,  
A dusza im poety grała swą tęsknotą.

LUDWIK WŁODEK:

## Zagadka Wschodu.

Przed oczami naszymi odwracają się karty historii świata. Jak widzowie olbrzymiego żywego kinematografu, spoglądamy na przesuwające się wypadki, których znaczenie i rozwiązanie tkwi dopiero w czasach, kiedy będziemy prochem, z jakiego powstałiliśmy.

Budzi się do życia Wschód, kolebka ludów zachodnich. Stara macierz, przytłoczona potęgą potomków, upomina się o swoje prawa. Hasła zwycięskiej walki idą z dalekiego Wschodu, aż het od Japonii; wywołują pierwsze echa we współwyznawcach Buddy, obojętnych dotąd Chińczykach; budzą się przemieszani czciciele Brahmy i Mahometa na olbrzymich terytoriach angielskiego cesarstwa Indyi; walczą o wolność rozdwojone konary Islamu, Szyici w Persyi i Sunici w Turcyi. Niby z szeregu beczek prochu, lontem wspólnej reakcji przeciw przewadze dumnej Europy złączonych, wybuchają ciągle, mniej lub więcej jaskrawe płomienie. W kipiącym kotle warzy się przyszłość świata.

To, co się dzieje w Turcyi, to tylko epizod ogólnego odrodzenia Wschodu. Epizod najciekawszy, bo najbliższy, bo węzłami dziejowych walk i podobieństwami położenia z rzeczami polskimi związany.

Nie pierwsza to walka o wolność otomańską. Bohaterowie jej, młodoturcy, w filiacji swej wywodzą się od Midhata baszy, od konstytucji 1876 roku, pogrzebanej we krwi i mogiłach pod Plewną, Szipką i Adryanopolem. Ten sam padyszach odebrał ją ludowi przed laty, który usiłował ją zniweczyć wczoraj, tracąc może przytem tron.

Jedynych dobrych prądów, idących od szczytów cywilizacji zachodniej, prądów wolności, poszanowania prawa i jednostki, nie stłumiły sznury jedwabne, skrytobójcze sztylety, wilgotne i zgniłe więzienia, wygnania w odległe krainy, jak nie zdołały przedtem stłumić dążeń do niepodległości słowiańskich gaurów.

Wczorajszym promotorom ruchu młodotureckiego, dzisiejszym mężom stanu chodziło jeszcze o coś więcej: o zbawienie ojczyzny. Leczyć ją chcieli wewnątrz tym samym środkiem, który niweczył ją z zewnątrz, zdobyciami cywilizacji zachodu. Umiejętne ich zastosowanie podniosło Japonię do rzędu mocarstw wszechświatowych, i one tylko przygotować mogą odrodzenie Wschodu. Więc ci działacze tureccy, zapatrzeni we wzory Zachodu, pragnęli zmienić odwieczny zastój i zacofanie ojczyzny. I w chwili obecnej zwyciężyli.

Czy na długo? Nam, Polakom, nasuwa się nieszczęsna dla Turcyi analogia i wróżba. Cofnijmy się pamięcią o lat sto kilkadziesiąt. Nasi reformatorzy, wszyscy nasi działacze wieku oświecenia, twórcy sejmu czteroletniego i konstytucji Trzeciego maja, Kołłątaje, Staszice, Małachowscy, Potoccy, zapatrzeni we wzory Zachodu, podlegający wpływom encyklopedystów francuskich, czyż

nie przypominają nam tych wszystkich ludzi, o nic nam dziś nie mówiących, przecież kiedyś w przyszłości historycznych nazwiskach, kształconych w szkołach francuskich, czerpiących przykłady z nad Atlantyku, którzy dziś przebudowują podwaliny państwa Osmanlisów?

I nasi chlubni przodkowie przebudowali rzeczpospolitą polską. Daremnie. Bo kraj był w rozkładzie, a sąsiedzi czuwali. Nad Bosforem czuwają również dwaj sąsiedzi, ciż sami, co niegdyś straż trzymali nad Wisłą, i nie sąsiedzi, którzy przecież ze zgonu „chorego człowieka” także skorzystał zechcą przy podziale spadku.

Turcyja znajduje się w stanie pełnego rozkładu—nie od dziś. Oznaką jego, wyrazem spodziewanego upadku są kruki, co się na żer zlatują. Korzystając z opieszałości Turków i z niektórych przepisów Koranu, żrą kraj wewnątrz Lewantyńcy, chrześcijanie, którzy w rzeczywistości przedstawiają się nieco inaczej, niż w romantycznych historykach prześladowań. Z zewnątrz czyhają na jego byt wszystkie mocarstwa Europy.

Zadanie ich mniej łatwe, niż w XVIII stuleciu w Polsce. I tu kończy się analogia, zaczynają kontrasty. Bo państwo padyszacha jest wielkie, a olbrzymie cielska przez dłuższy przechodzą okres rozkładu. Bo za wielu jest powołanych do tego, by byli wybranymi; wszystkie wpływy zdążają do zguby Turcyi, ale nieraz przeciwne niweczą się nawzajem, dla jej tymczasowej korzyści i bytu. Niema tu bezpośredniego łańcucha granicznego; długą linią znaczą brzegi Turcyi wody morza Śródziemnego i Czarnego. Nie może być łatwej zgody trzech pogranicznych państw, aby wymazać z karty Europy czwarte.

Nie tu jednak tkwi przeciwieństwo zasadnicze. Szukać go należy w przepaści, jaka oddziela cywilizację islamiczną od chrześcijańskiej. Czynniki ten nie wpływa na działanie sił zewnętrznych, ale utrudnia pracę wewnętrzną. Nietrudne są reformy zasadnicze wedle wzorów Zachodu dla krajów, które z tego samego pnia wyrastają. Nie słychanymi trudnościami najeżone są zmiany, oparte na antynomii bezwzględnej. Doznali tego na sobie młodoturcy, kiedy w całym szeregu reform natrafiali ciągle na opozycję koranu.

Szeik ul Islam, najwyższy duchowy zwierzchnik Sunitów, „cień cienia Allaha”, jeżeli padyszach jest jego „cieniem”, w rozmowie z dziennikarzem europejskim oświadczył, że Koran w niczem nie sprzeciwia się reformom, że przepisy jego w zasadzie nie mają nic przeciwko parlamentaryzmowi, że nawet, „gdy mężowie zostaną wolni, czas będzie pomyśleć o wolności niewiast”. Ale w tych twierdzeniach była tylko uprzejmość pod adresem Europejczyków. W istocie rzeczy w ustroju religijno-społecznym Turcyi tkwi to przeciwieństwo zasadnicze dwóch kultur, ten szkopał, o który muszą rozbijać się dążenia reformatorskie.

Łatwo jest narzucać narodom różne formy polityczne, czynniki przymusu zewnętrznego państwa. Ale te formy, aby oka-

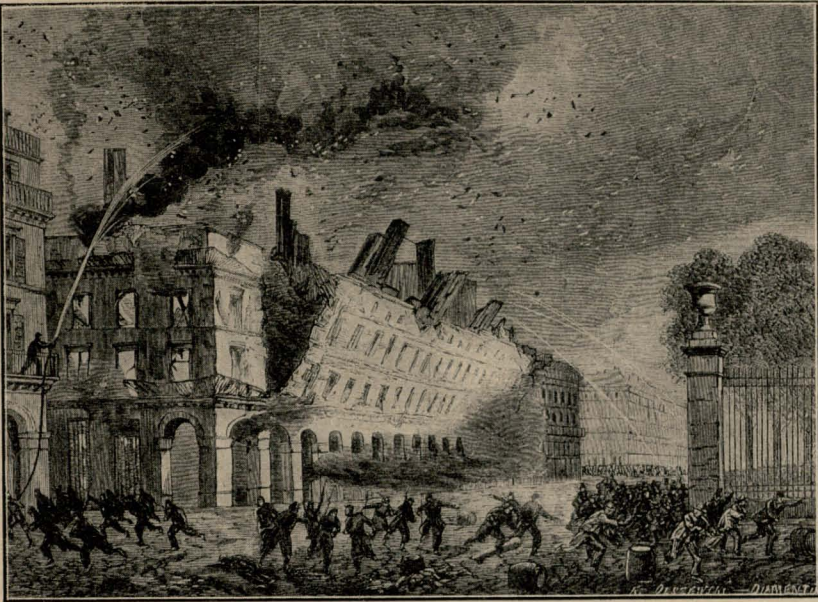
zały się właściwemi, muszą odpowiadać treści życia. Ustrój wewnętrzny rodziny, a więc społeczeństwa, wytworzony przez wieki, można zmienić tylko przez przekształcenie zasadniczych pojęć moralno-obyczajowych, na co znowu potrzeba stuleci.

Na tych komórkach opiera się społeczeństwo. Niewątpliwie do rodzin mahometańskich, obok mód i romansów paryskich, przenikają pojęcia zachodnie i ze stanowiska mahometańskiego działają rozkładowo. Przy domowych ogniskach wrą najzaciętsze walki między tymi, którzy chcą wszystko zachować, a tymi, którzy muszą dążyć do zmiany wszystkiego, aby realną była reforma polityczna od szczytu. I tu wytwarzają się nieuniknione zarzewia wojen domowych, tem straszniejszych, im dwie cywilizacje większa dzieli przegroda, tem łatwiejszych do wyzyskania dla tych, którzy nad Bosforem stosują starą zasadę dzielenia dla rządzenia i z zewnątrz nawę tureckiego państwa do rozbicia kierują.

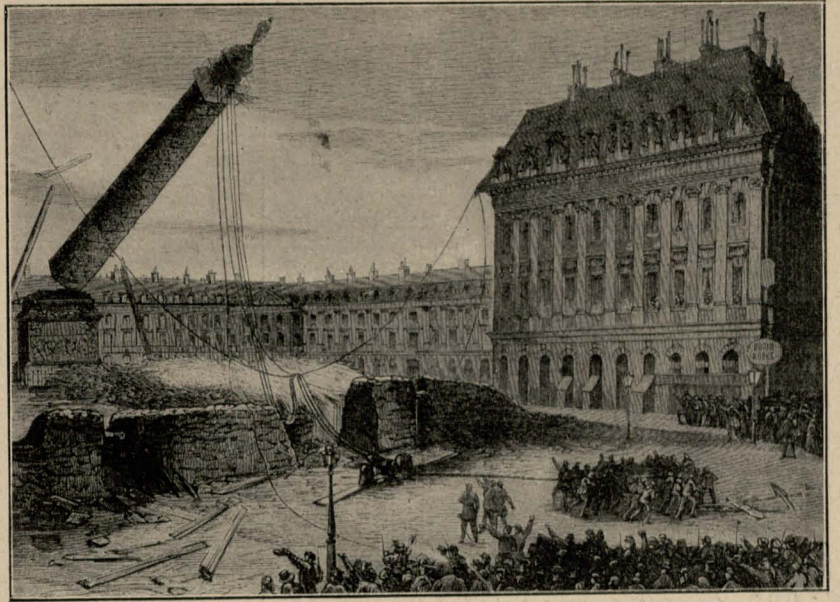
W tym odrębnym ustroju społeczeństwa mahometańskiego tkwi dla nas, gaurów, zagadka Wschodu. Zapewne, bezpłodnym zajęciem byłoby dla nas wrózenie przyszłości Turcyi i udzielanie jej rad na zasadzie naszego własnego doświadczenia. Ale nawet do tego brak nam potrzebnych danych. Podstawa społeczeństwa jest tu dla nas niedostępna. Nie otworzą nam oczu traktaty, cyfr pełne, dla ekonomistów i polityków niezbędne, ale dające jedynie zewnętrzny kształt życia. Nie pouczą nas opisy, z konieczności powierzchniowe, na anegdotycznych opowiadaniach, chociażby tureckich, oparte, bo niemożliwą jest metoda obserwacji bezpośredniej. Nawet pisarze młodotureccy mają dwa oblicza, jedno dla Europy, a drugie dla swoich rodaków i, przemawiając do nas, kładą nacisk przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, na zagadnienia polityczne, wszędzie mniej więcej popolite.

Zagadką dla nas jest Wschód najbliższy, zagadką jego losy. Jedno jest pewnem. To uczucie, jakie budzą w sercach polskich wypadki w państwie tureckim. Dziadowie i pradziadowie nasi walczyli z muzułmanami w imię właśnie niezgłębionej przepaści między dwiema cywilizacjami, zyskując ojczyźnie swojej zaszczytne miano „przedmurza chrześcijaństwa”. Była to piękna epopeja, może konieczność historyczna, a może bielmo polityczne, które zasłaniało przyrodzoną aliantkę, a pozwalało wyrastać pod bokiem potężnym współzawodnikom. A kiedy już Polska kłoniła się ku upadkowi, wieszcz ukraiński wróżył jej odrodzenie, gdy „Muzułmanin konie napoi w Horyniu”.

Nie ta wróżba poetycka, lecz analogie, któreśmy poprzednio zaznaczyli, każą Polakom patrzeć z najgorętszą sympatią na działalność w kierunku odrodzenia Turcyi i najszczerzej życzyć, aby lepszym, niż przed laty u nas, uwieńczona została skutkiem. Jeżeli stanie się inaczej, jeżeli zagadka Wschodu rozwiązana zostanie niepomyślnie, dla nas będzie to koniec jeszcze jednej legendy...



Pożar i zburzenie ulicy Rivoli w Paryżu.



Zwalenie kolumny Vendôme w Paryżu.

Z CZASÓW KOMUNY.

HENRYK MOŚCICKI:

## Z DZIEJÓW KOMUNY.

Przebrana walka orężna pociąga za sobą prawie zawsze ferment społeczny w kraju zwyciężonym. Budzi się mściwy gniew ludu, żąda on obrachunku od swych wodzów, wyroki, ferowane z gorączkową pochopnością, obalają tych, co wczoraj jeszcze stali u szczytu potęgi, częstokroć opróśnieni niedawną glorią bohaterstwa i gorącymi blaski powszechnej miłości. Tak było w Polsce po katastrofach rozbiorowych i w sierpniową noc 1831 r., to samo we Francji po klęskach roku 1870-go.

Komuna paryska ma już swoich historyków: krwawe jej dzieje opowiedział zachowawca Maxime Du Camp w ogromnym dziele „Les convulsions de Paris”, socjaliści Arnold i Lissagaray—zwolennicy ruchu; sporo również pamiętnikarzy (np. de Gastyne, Joude, Beslay) przekazało potomności wstrząsające swą grozą i okrucieństwem obrazy walki bratobójczej na ulicach Paryża. W niedawno ogłoszonych drukami wspomnieniach ks. Leona Postawki, rektora misji polskiej w Paryżu\*), znajdujemy kilka interesujących szczegółów o Komunie paryskiej i udziale w nich naszych rodaków. Jak wiadomo, Jarosław Dąbrowski i Walery Wróblewski, obaj uczestnicy powstania styczniowego, odegrali wybitną rolę, jako dowódcy armii komunardów.

Dąbrowski, były oficer rosyjski, następnie gorący działacz rewolucyjny, w r. 1863, wzięty został do niewoli i osadzony na zesłanie do Syberji, skąd jednak udało mu się uciec. Po przybyciu do Francji wszedł w stosunki z najczerwieńszą grupą naszej emigracji. Podczas oblężenia Paryża przez Prusaków rwał się do czynu, lecz rząd z usług jego nie skorzystał, skutkiem czego Dąbrowski przerzucił się do opozycji i pisał w dzienniku *Le Réveil* namienne krytyki prowadzenia wojny przez generała Trochu. Rząd Komuny, znając Dąbrowskiego, jako zdolnego oficera i oddanego bezwzględnie idei rewolucji, ofiarował mu rangę generała i powierzył d. 6 kwietnia 1871 roku dowództwo nad armią. W pierwszych dniach maja, gdy Komuna coraz bardziej chwiać się zaczęła pod naciskiem wojsk rządowych, Dąbrowski wysłał żonę z dwoma synami do Lon-

dynu; Dąbrowska opuściła Paryż, przebrana za kucharkę, wywożąc w koszyku, napełnionym kapustą i sałatą, 200,000 franków, ofiarowanych na zabezpieczenie rodziny generała przez rząd komuny. Niebawem armia Thiers'a wkroczyła do stolicy. Ostatnim punktem obronnym Dąbrowskiego był fort na Montmartre, bronił go do upadłego, ostatni niemal opuścił pozycję, na której wszystkie fortyfikacje i rynsztunki wojenne zgruchotały działa fortu Mont Valérien, skąd bombardowano komunardów. Po opuszczeniu Montmartre Dąbrowski na białym koniu arabskim, w towarzystwie dwóch adiutantów, ukazał się na bulwarze Ornano, gdzie wznosiła się olbrzymia barykada. Generał z pałaszem w ręku zachęcał walczących, nagle koń jego zachwiał się i padł z jeźdźcem na ziemię. Obecni sądzili, że Dąbrowski został zabity, przekonano się jednak, że nie odniósł



Ks. Leon Postawka.

padł bez życia. Wersalczyki poznali po mundurze ciało naczelnego wodza, porwali i wrzucili w płomień gorejącego domu. Tak zginął wódz Komuny.

Wróblewski, wódz lewego skrzydła armii komunardów i komendant fortu Montrouge, wyszedł cało z tej walki. Po zdobyciu Paryża wyjechał z Francji, lecz niebawem tamże powrócił. Zmarł w roku ubiegłym; do ostatka rząd Rzeczypospolitej wypłacał mu pensję 100 franków miesięcznie.

Ks. Postawka, pełniący w czasie Komuny obowiązki proboszcza przy kościele św. Trójcy, był nieraz świadkiem przerażających scen walki bratobójczej. Oto jedno z jego opowiadań o kaźni więźniów. Gdy wersalczyki zaczęli coraz więcej naciskać siłami swemi komunardów, prefekt Paryża, Rigault, wydał rozkaz, aby wszystkich uwięzionych rozstrzelano. Ponieważ egzekucja przedstawiała nie-

jakie trudności, zaprowadzono wszystkich więźniów na ulicę Haxo. W gronie pojmanych najwięcej było wojskowych członków policji upadłego cesarstwa; wszyscy prawie byli ojcami licznych rodzin. Było też między nimi kilku zakonników i księży. Prowadzono ich najprostszą drogą, koło kościoła Notre-Dame de la Croix, ulicą Menilmontant. Ta dzielnica Paryża położona jest na wzgórzu, o kilka tyłu metrów niżej Montmartre'u. Więźniowie, idąc pod górę, zmordowani i wycieńczeni głodem, odbywali prawdziwą drogę krzyżową. Eskortujący żołnierze bili więźniów kolbami lub kłuli bagnetami tych, co się zbliżali do swoich krewnych, albo ze zbyt dużego zmęczenia nie mogli zdążyć za innymi. Towarzyszył skazanym na śmierć kilkunastotysięczny tłum, złożony przeważnie z dzieci i kobiet, które lżyły nieszczęśliwych i miały na nich przekleństwa. Jakiś kapłan upadł na ziemię, z ręki wysunął mu się brewiarz, i kapelusz spadł z głowy. Dziki tłum pochwycił jedno i drugie i, wyrzucając w powietrze, kpił i drwił bezlitośnie. Biedny ksiądz z trudnością mógł się podnieść, za co ukarany został kolbą, a potem wleczony był prawie aż na miejsce kaźni.

Nareszcie, kiedy cała ta rzesza skazanych przyszła na ulicę Haxo, wszyscy wprowadzeni zostali do ogrodu, otoczonego murem, przylegającym do domów. Wszystko było tam przygotowane do przyjęcia ofiar, dół ogromny był już wykopany. Salwy po kilkakroć się odezwały. Kiedy wszyscy padli na ziemię, wrzucano ich do dołu, bez sprawdzenia, czy byli zabici, czy też tylko ciężko ranni. Gdy żołdactwo oddaliło się, zostawiając straż około ogrodu, naoczni świadkowie słyszeli jęki i wołania o litość tych, których przed chwilą wrzucano do dołu. Z trwogi nikt nie śmiał iść z pomocą, i długo jeszcze słyszano jęki tych nieszczęśliwych męczenników.



Rozstrzelanie podpalaczki (nafiarki) przez wojska rządowe w czasie komuny paryskiej.

\*) Ks. Leon Postawka, Pamiętniki, obejmujące okres od roku 1863 do 1908. 2 tomy. Paryż, 1908.

Pod naciskiem wojsk rządowych coraz większe zwątpienie poczęło ogarniać powstańców i popychać ich do czynów coraz gwałtowniejszych. Niszczono kościoły i gmachy publiczne, zabrane ze świątyn przedmioty złote i srebrne przetapiano na monetę. Z inicjatywy członka rządu Komuny, malarza Courbet'a, postanowiono zwalić kolumnę z posągami Napoleona I, stojącą na placu Vendôme, jako pomnik tyraństwa. Za ten postępek skazano Courbet'a po wzięciu Paryża na śmierć, później jednak zamieniono mu karę na dożywotnie więzienie, a w końcu darowano wszystko pod warunkiem, że wzniesie napowrót zniszczoną kolumnę, czego też dokonał kosztem pół miliona franków.

Ustępujący komunardzi stawili rozpaczliwy opór i bronili się paleniem budynków. Zgorzały od bomb nafcianych Tuilleries, ratusz, Palais Royal, część Louvre'u, pałac sprawiedliwości i t. d. Pałac królewski miał podobno podpalić sam Rigault. W końcu maja zdobyto ostatni przytułek powstańców, Vincennes. Wersalczyki nie przebaczyli nikomu i nie mniejszą okazali zaciekłość, jak komunardzi. Reakcja była krwawa i straszna. Rozstrzelano bez sądu. Park Monceau, w którym odbywały się egzekucje, wyglądał, zdaniem naczynych świadków, jak po wielkiej ulewie, z tą różnicą, że ziemia zlane była nie deszczem, lecz krwią ludzką. Urzędowa cyfra rozstrzelanych wyniosła 6,500, drugie tyle skazano na ciężkie roboty do Nowej Kaledonii. Rządy objął Thiers, jako prezydent Trzeciej Rzeczypospolitej.

BOLESŁAW PRUS:

## Twórcza ofiarność.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W połowie kwietnia r. b. odbył się zjazd wychowalców szkoły Mechaniczno-Technicznej S. Wawelberga i S. Rotwanda. Drobny ten napozór wypadek zasługuje na uwagę publicz-



Hipolit Wawelberg.

na, zarówno ze względu na organizację szkoły, jej dzieje i rezultaty, jak i ze względu na niepospolitą, a obywatelską i mądrą ofiarność jej założycieli. Artykuł niniejszy opiera się na niezbyt obfitych wzmiankach dziennikarskich, ale nadewszystko na wybornej „Monografii” tej szkoły, napisanej przez inżyniera T. J. Eytnera, w sposób jasny i przejrzysty.

Zacznę od ludowego przysłowia: „podaj komu palec, a złapie ci rękę”... Rodziny, a raczej rodzina Wawelbergów i Rot-

wandów, pragnąc uczcić pamięć zmarłego ojca, przeznaczyła w roku 1891 rubli 100,000 na jakiś cel doniosłości społecznej. „Wtedy to—mówi autor „Monografii”—dr. Ludwik Natanson przedstawił im wyczerpujący memoriał obecnego dyrektora szkoły, Stefana Kossutha, wykazujący potrzebę stworzenia w Warszawie średniej szkoły technicznej”. Owe „sto tysięcy rubli” były palcem, za który schwycił ofiarodawców demon potrzeb społecznych. Pieniądze leżały trzy lata w Banku Handlowym, a tymczasem w umysłach, a zapewne i w sercach ofiarodawców, idea szkoły technicznej tak mocno rozwinęła się, że w roku 1895 otworzyli ją na swój wyłącznie koszt, w gmachu



Gmach szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda.

wynajętym przy ulicy Składowej, a w roku 1897 przenieśli do własnego gmachu, przy ulicy Mokotowskiej, i zaopatrzyli „we wszelkie potrzeby szkolne i pomoce naukowe”. Dzięki temu, od roku 1895 do 1907 założyciele, zamiast projektowanych stu tysięcy, wyłożyli na utrzymanie szkoły około 460,000, dodajmy — z istotnym pożytkiem dla kraju.

Poczynając od strony najbardziej zewnętrznej, gmach szkolny, wraz z pawilonami, zajmuje około 130 kroków długości i około 50 kroków głębokości, może pomieścić 400 słuchaczy, posiada dużo przestrzeni, powietrza i światła w każdej swojej części. Oprócz sal wykładowych, biblioteki, muzeum, mieszkań dla administracji i t. p., znajdują się tam: sala rysunkowa, kreślarnia, audytorya fizyczne i chemiczne z odpowiednimi pracowniami, a nadto warsztaty: stolarski, ślusarski, kuźnia, odlewnia, sala maszyn i t. p.

O dyrektorów i profesorów szkoła starała się zawsze jak najlepszych, jej program jest poprostu — piękny i czyta go się, jak powieść zajmującą. Widzimy tam: matematykę z rachunkiem różniczkowym i całkowym; rysunek z geometrią wykreślną; mechanikę, fizykę, chemię, elektrotechnikę; budownictwo i budowę maszyn; ślusarstwo, kowalstwo, stolarstwo; technologię chemiczną, technologię drzewa i metali, cukrownictwo, młynarstwo, przędzalnictwo, tkactwo, ogrzewanie i przewietrzanie, a nareszcie buchalterię i korespondencję handlową, geografję ekonomiczną, ekonomię polityczną, prawoznawstwo, higienę i bezpieczeństwo pracy.

Oprócz słuchania wykładów i odbywania repetycji, oprócz zajęć w pracowniach naukowych i warsztatach rzemieślniczych, uczniowie odbywają jeszcze ekskursje do rozmaitych fabryk i praktykę podczas wakacji. Ćwiczy się nie tylko ich umysł, ale także zmysły i muskuły, a suma tych wszystkich ćwiczeń powinna działać w sposób ogromnie podniecający i rozwijający zdolności duchowe. Mam wrażenie, iż młody człowiek, ukończywszy tę szkołę, już potrafi dać sobie radę z każdą gałęzią wiedzy technicznej i z każdą pracą mechaniczną. Co więcej, ma on także wska-

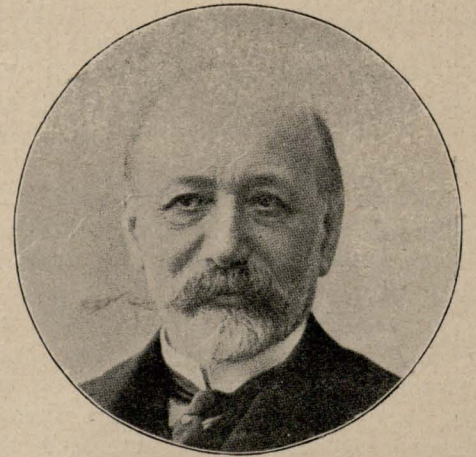
zówki, dotyczące handlu, i jakiś pogląd na zjawiska społeczne. Tak pełnego, zdrowego i męskiego ukształcenia nie może dać żaden uniwersytet, i doprawdy — zżdrości się młodzieży, która ma sposobność kończyć podobną szkołę. Pokolenie, do którego np. ja należę, o takiej szkole nawet nie słyszało.

Zjazd byłych wychowalców miał dwa poważne rezultaty. Naprzód — zawiązuje się Stowarzyszenie, które, obok podtrzymywania stosunków koleżeńskich, ma propagować w społeczeństwie ideę średniego wykształcenia technicznego. Ideę bardzo ważną, gdyż, z powodu braku oświeconych pracowników, nasza wytwórczość rolnicza, przemysłowa, rzemieślnicza, handlowa, już nie mówiąc o naukowej, znajduje się w stanie opłakanym. Powtóre — z okazji zjazdu dowiedzieliśmy się, jakie korzyści społeczeństwo potrafiło wydobyć dla siebie z tej szkoły wybornej.

Otóż w tej chwili znane są losy tylko 175 osób, które ukończyły szkołę. Z pośród nich objęło stanowiska w Warszawie 80, na prowincyi 42, w Cesarstwie 28, a nadto: 6 we Francyi, po 4 w Belgii i Anglii, po 3 w Ameryce, Szwajcaryi i w Indyach (!) i 2 w Australii (!)... Pod względem zaś rodzaju stanowisk zajmują posady: 45 konstruktorów, 18 na kolejach, 17 pracuje w elektrotechnice, 11 w cukrowniach, 6 ma zakłady własne, 5 zajmuje się nauczycielstwem, a 29 jeszcze uzupełnia wiedzę w wyższych zakładach w Cesarstwie lub zagranicą.

Niemniej ciekawa jest statystyka szkoły. Przedewszystkiem widać z niej, że napływ uczniów ciągle wzrasta. W roku 1895 było ich 83, w r. 1907 już 461. Ze względu na wyznanie: przyjęto do szkoły 68 procent katolików, 26 procent Żydów, 3 prc. ewangelików i 2 prc. prawosławnych; zaś ukończyło szkołę około 3 prc. prawosławnych, około 4 prc. ewangelików, 71 prc. katolików, a tylko 22 prc. Żydów. Dla czego Żydzi, wogóle zdolni, wykazują mniejszy od innych wyznań procent dyplomowanych, monografia nie wyjaśniła.

Tu następuje najważniejsza, ale i najsmutniejsza rubryka statystyczna. W ciągu 12 lat przyjęto do szkoły 1431 uczniów, a ukoń-



Stanisław Rotwanda.

czyło ją — 218, czyli zaledwie 19 prc... A ponieważ koszty utrzymania szkoły, razem z wpisami, wyniosły w tym czasie około 750,000 rubli, zatem koszt wykształcenia jednego technika wynosił 3 i pół tysiąca rubli... Wielki wydatek, gdyż korzystających było niewielu. Gdyby zamiast 218, kończyło np. 700, koszt ukształcenia jednego technika wyniosłby nie całe 1,100 rubli.

Ten ogromny procent nie kończących szkoły zwrócił uwagę sprawozdawcy *Słowa*, który



### ŻEBRACY

Z wystawy „Sztuka” w Krakowie.

FRYDERYK PAUTSCH

poprosił o wyjaśnienie jednego z nauczycieli i otrzymał taką odpowiedź.

Nawet tym, którzy nie ukończyli szkoły, zdobyte w niej, choć niezupełne, wykształcenie bardzo się przydało. „Znam paru, którzy doszli do niezłych stanowisk: jeden jest dyrektorem poważnej fabryki w Łodzi, inny zarządza ogromnymi lasami, eksploatowanymi w sposób przemysłowy, na Białorusi. Z nich technika ma większy pożytek, aniżeli z tych, co otrzymali u nas patent i poszli szukać spokojnego chleba na takich urzędach, jak np. pomocnik taksatora w ubezpieczeniach rządowych”.

Na pytanie sprawozdawcy: czemu tak mało kończy szkołę, profesor odpowiedział:

„Jest w tem wiele winy naszego narodowego safandulstwa i braku wytrwałości. Wielu chłopcom nie chce się pracować systematycznie i równomiernie przez lat cztery, pięć... Ale są i tacy, którzyby chcieli, a nie mogą... Nieraz konieczność wymaga, ażeby chłopiec chwycił bodajby najmniejszą okazyję do zarobku”...

Z wyjaśnienia tego wynika, że na mały, skandalicznie mały procent kończących szkołę wpływa z jednej strony—bieda, z drugiej—lekkomyślność!... A doprawdy, grzechem jest nie korzystać ze wszystkich nauk i zasobów tej pięknej szkoły, jeżeli się już raz do niej wstąpiło!

Całkiem inaczej rzecz przedstawia się ze strony założycieli: żyjącego mecenasa Stani-

sława Rotwanda i zmarłego, niezapomnianego Hipolita Wawelberga. Ci bowiem złożyli dowód niemałej wytrwałości i ukochania szkoły. Czytając historię tej instytucji, dopiero widzi się, jak długo odmawiano Wawelbergowi i Rotwandowi koncesyi na ich imię, ile lat trzeba było czekać na uzyskanie praw rządowych, dlaczego musiano zamknąć wydział budowlany i t. d. Należy wspomnieć, że i młodzież nie zawsze ułatwiała byt szkole, spóźniając się, opuszczając lekcye, uchylając się od repetycji... Miejmy nadzieję, że się to już nie powtórzy i że dalej bez przeszkód wewnętrznych rozwijać się będzie instytucja, zasługująca na szacunek społeczeństwa i przywiązanie jej wychowawców.

Pierwotni założyciele szkoły: ś. p. Hipolit i Ludwika z Bersohnów Wawelbergowie, tudzież Stanisław i ś. p. Marya Rotwandowie, byli nie tylko hojni, ale przezorni, i pragnęli zapewnić szkole jak najtrwalszą przyszłość, wiążąc jej losy z losami rodziny Wawelbergów i Rotwandów. To też już dzisiaj do utrzymania szkoły przyczyniają się dwaj synowie Hipolita Wawelberga: Michał i Wacław, oraz córka Jadwiga, zamężna Bersohnowa. I tak samo po śmierci ś. p. Maryi Rotwandowej do utrzymania szkoły przykładają się jej dzieci; syn Andrzej Rotwand i córki: Felicja Szebekowa, Zofia Tabęcka i Leonia Rotwandówna.

\* Obowiązek publicystyczny nakazuje przypomnieć, że Szkoła Mechaniczno-Techniczna

jest tylko jednym z momentów obywatelskiej ofiarności Wawelbergów i Rotwandów. Muzeum rzemiosł i sale rysunkowe w Warszawie, kolonia lecznicza dla 150 dzieci w Ciechocinku, wreszcie Tanie Mieszkania przy ulicy Górczewskiej są to tylko niektóre instytucje, zawdzięczające byt ofiarności Hipolita Wawelberga, jak znowu: Tanie Kąpiele imienia Janiny i wzorowo urządzona ochrona są dziełami społecznymi Stanisława Rotwanda. Kraj nasz może inaczej wyglądałby, gdybyśmy więcej mieli naśladowców tej ofiarności nie tylko hojnej, ale i wytrwałej, nie tylko filantropijnej, ale i mądrej.

☞

### Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

#### STANCE.

JAN MORÉAS.

Bluszcze! jakimż zwisacie wdziękiem bukolicz-  
Na starych ruin zwalisku, [nym  
Albo gdzieś na samotnym platanie antycznym,  
Co ginie w waszym uścisku.

Lecz lubię was nad wszystko, mroczne, smętne  
Dokoła fontanny szmernej, [bluszcze,  
Kędy żalosa woda o kamienie pluszcze  
Śród zrujnowanej cysterny.



W SĄDZIE (Z wystawy „Sztuka” w Krakowie)

STANISŁAW KAMOCKI



W CERKIEWCE HUCULSKIEJ (Z wystawy „Sztuka” w Krakowie)

WŁADYSŁAW JAROCKI

## O MICIŃSKIM.

Nie pragnę słońca—osamotniony,  
Z krzykiem złowieszczym upiornych snów,  
Bogowie mogli—jam był pojony,  
Jak wy—ambrozyą—i mlekiem lwów.

Żaden z poetów polskich dzisiejszych nie jest tak mało człowiekiem. Zarazem żadnego z nich tak nie zdradza jego maska zewnętrzna, ludzka, jego kształt widomy, w jakim się nam udziela, trwoży i do walki sposobi, ile grozą mityczną przeryta twarz „budowniczego nadgwiezdnego miast”. Skrzydlatym lwem jest Miciński, my zaś sądzimy go, jako człowieka. Czas spojrzeć w oczy temu lwu, czas dotrzeć do wnętrza samotnego, czas wejść w jego duszę, bo może być zapóźno, bo ogień jego może nam wyżyć oczy, bo gotowiśmy oślepnąć i na wieki pozostać już nie „w mroku gwiazd”, lecz w kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca, gdzie wiecznie smętno, posępnie i głucho—i skąd niema wyjścia dla tych, co imię Prometeusza wymawiają nadaremno.

„W mrokach złotego pałacu, czyli Bazyliisa Teofanu”. Księga wspaniała, niezwykła. Gwiazdzistym złotem tłoczona postać bizantyjskiej Madonny boleściwie spogląda z szarej karty. Na drugiej stronie księgi obraz inny: czyjaś ręka wychyla z okna pękatej wieży ściętą głowę—czy Chrystusa?... Głowa ta jakby z chusty Weroniki. Goreje żagiew, chłonąc ogniem głowę męczennika i straceńca. Goreją złote wieże. Goreje niebo i jarzy milionem iskier rozsianych.

Księga ta mieści obszary, jakich nie zna nasza literatura. Z jednej postaci wysnuta tragedia nie tylko wszechludzka, ale i kosmiczna. Ażeby mózgi z niej wyczytać treść istotną według nakazu twórcy, a tylko tak czytać nam wolno, zapamiętajmy słowa wstępu:

...o głębinę ducha ludzkiego, o tajemnicę Jaźni, przejawiającej się w tych świetnych Apokaliptycznych czasach Bizancyum na szczytach jego potęgi, walczę przedewszystkiem, teraz, jak zawsze.”

To „zawsze”, w kształt zakłęte, czyli zwalczone, ujawnione, czyli wydane, to królewskie liryki „W mroku gwiazd” i „Kaukaz”; to zapoznane przez żywych „Do źródeł duszy polskiej”, „Noc rabinowa”; to nie zrozumiany, a pohąbiony „Książę Patiomkin”, to wszystkie inne pisma, poematy i rewelacje rapsoda tatrzańskiej „Nietoty”. „Zawsze”—to dwoista: mroczna i świetlna droga ku temuoczytowi, który pomimo wszystko, pomimo... wczorajszosc wyrazu, nazwę absolutem.

„Zawsze” Micińskiego: to droga zdobywca, choć pozornie ocieniona nierozświetlonym mrokiem, lecz przesłoneczniona tem bujniej życiodajnym Agni.

Kto z nas na chwilę choćby nie wczuwał się w zagadkę bytu i istotę Lucyfera, w tajemnicę Jaźni, królującej naszym marzeniem?

To, co dla większości ludzi jest momentem lirycznym, to dla poety, „Mahatmy światów, zamkniętych w kopule jasnowidzącego nieba”, jest dramatem życia, zaś w prometeicznym ogniu wyzwalającego ducha staje się tragedią Jaźni, a więc tragedią wszech czasów i duchów wszelkich.

Miciński zdobywa prawo do lucyferyzmu. Wypłynąwszy z pomiędzy Scylli i Charybdy: wiedzy i religii, przepływa wielkie morza mroków i światła, kuszących lub grozących wolności ducha, i z myślą śmiałą przybija „do źródeł duszy polskiej”. Tu się staje

Lachem, Lechitą, czuje zbiorowo, wierzy i walczy. Nie wydana praca p. t. „Nad wodą wielką i czystą” (Życie A. Mickiewicza), rozwidniająca horyzonty współczesnej duszy polskiej na dziesięć lat przed Monsalwatem, introspekcyjne dociekania źródeł tej duszy świadczą



Tadeusz Miciński (pastel K. Sichulskiego).

o mozolnem zdobywaniu przez Micińskiego prawd o Polsce.

„Chrystus musi naradzać się w każdym kościele polskim, Lucifer musi jawić swe mądrości w Tatrach, nie na Libanie”.

Ale oto burza nadciąga od północy, ze wschodu i południa. Na zbuntowanym pancerniku Wilhelm Ton, człowiek, widzący rzeczy wewnątrz, zdobywa prawdę:

To ów umiłowany przez wszystkich magów świata i przez nich jedynie poznawalny Lucifer.

Oto źródło i przeszłość „Bazyliisa Teofanu”.

Wiemy więc, jak czytać tę „tragedię z dziejów Bizancyum X wieku”. Zagadkowa, potępiona przez historyków postać potężnej cesarzowej stanęła przed oczami poety i wizyonera w całym przepychu bajecznej mozaiki dziejowej, jako tła, na którym rylec przeznaczeń dobitnie kreślił baltazarową przestrozę, a orgie grzechu zaćmiewały mrocznymi kłębami złoto kopuł św. Zofii. I oto na tle tem, którego samo opanowanie już jest dziełem wielkiem, jawi się ostatnia z gwiazd Micińskiego, oblubienica jego Oblubieńca, złowroga madonna—Teofanu.

Malarz stanie w osłupieniu, czytając opis wnętrza kościoła Myriandron w akcie pierwszym. Groźniejszej wizji nad ów tłum, rozmołdony dokoła trupa Samowładcy (Konstantego Porfirogenety), napróżno poszukiwać w Apokalypsie, którą nadludzka fantazja poety potysiącokroć gasi w zatokach tęczy, w krzykach rzezańców, w krwawych zmierzchach witraży. Plastyka obrazu jest tak przygniatająca, a zarazem tak płomienna, że stopniowo udziela się nam szal, rozsadzający wyobraźnię, niby sklepienie świątyni, w której już tylko wiruje jeden przepotężny, modlitewny hymn. To plastyka erupcyjna, magiczna i zawierająca wszelki kąt widzenia realny. Jest to za pomocą scenariusza, dekoracji i mistycznego barwienia wydobyty krzyk przepołowionej duszy Bizancyum, „olbrzymiego grzechu ziemi”, ale i krzyk duszy współczesnej, równie boleśnie miotanej od światła Wschodu ku mrokom Zachodu, od ubogiego królowania nad motłochem ku możne-

mu nędzarstwu barbarzyńcy. Bizancyum X wieku topi w sobie wszystkie bogactwa rozumu, mistyki, zbrodni, czarów, jarzy wszystkimi klejnotami świata i najcudniejszą z kobiet, o którą daremnie kusi się i Grek, i Arab, i Norman, i witeż słowiański. Bizancyum Micińskiego to ołtarz wszystkich jego tęsknot i zakłęk. Niepodobna o Teofanu mówić, nie wywoławszy jej przed oczy:

„Twarz Bazyliisa Teofanu z oczyma głęboko morskimi przypomina Madonny indyjskie, lecz cera jej mleczna prześwietlona, jak księżyc z za chmur lecącego śniegu. Włosy złotorude, łuki brwi krucze, wzrost, jak palma, ruchy posągu. Szata jej ze szmaragdów na ciemnym tle w kwadraty i koła, czarne i ze złota, jak skóra żmii; w koronie jej mistyczne słowa Zbawiciela: „Pokój wam! ja jestem światłość świata”...

Miciński wplata węzowe linie dekoracyjnego rysunku w rozszałałą magię tęczy barw; w polifonicznej takiej budowie cały wątek dramatycznej tragedii, cała mądrość dziejowa, epizodycznie wrastająca w bieg akcji, staje się niezmiernym, harmonizowanym chaosem, z którego wystrzela ku niebu, urągając już epokom, narodom i światom—myśl metafizyczna.

Zapatrzona w rzeczy zaświatowe, obcuja z potęgami z za sfery ziemskiego bytowania, wsłuchana w głos „Złego myśliciela”, potężna władczyni narzędziem jest w ręku potęgi nieludzkiej. Przez nią i w niej dopełniają się losy Bizancyum—czyli świata.

— Życie me jest jedną straszliwą mszą, w której odprawiałam Tajemnicę Człowieka. Coraz mi jaśniej!...—tak mówi, będąc bliską kresu mrocznej wędrówki. Światłość wielka czeka na nią, a światłością tą nie jest słońce, lecz wieczna i doskonała świadomość zwalczania w imię miłości bezwzględnej—dzieła krzyża.

— Kochajcie, moi synaczkowie (rzecze do dzieci), mnie i Słońce, a jeśli trudno będzie wam to kiedyś wykonać, tylko Słońce.

Tak mówi Bazyliisa Teofanu, mając duszę pełną mroku. „Słońce—Bóg już zgasło”, wzywa Niewiadomego, aby ją wiodł „w krainę „Polarnej Zorzy”. Tak żyje, śniąc, ta wyklęta i opętana przez mroki ziemi, przez zbrodnię Bólu i pychę gwiazd—czarodziejka, i prawda jej występuje w nagości. Prawdą tą jest prawo wyzwolenia przez czyn, współmierny z Golgotą, lecz rozsadzający grób nie ofiarą, lecz Magiczną Wiedzę. Teofanu *ma prawo* wieścić treść swego posłannictwa.

...Ja odkupiam tej nocy wszystko morderstwo, wszelką zbrodnię Złotego Pałacu. Jestem Słońce, które wznosi i zabija.

Przeczuwam, że w szalonych otchłaniach, jakie rozwarł Miciński w „Bazyliisse Teofanu”, każdy z czytelników ujrzy inne odbicie swego lucyferyzmu, w miarę tego, jak uosabia własną Karmę życiową i Znicz własnej, niepodzielnej Jaźni. Dlatego wolno każdemu wrzucić swój kamień w przepaść zaiste bezdenną.

W otchłani poprowadzi czarownik i fantasta, w krainy dzikie i urwiste, między zawrotne turnie, które tylko samotnikom dano przebyć. Może nie pokona „Nietoty” człowiek z miasta, nie znający skarbów dzikiej doliny Newcyrki, nie umiejący z gwiazd czytać snów „zasnionego wojska”. Lecz nawet nie rozumiejącym ekstazy, stroniącym od skrzydlatego lwa naszej poezji, rozewrą się Mroki Złotego Pałacu samozamem zakłębem:

„Za skarby obu światów nie oddam jednej chwili marzenia mego, płonę, jak gwiazda, znam cenę bólu iskry niebiańskiej”.

TADEUSZ NALEPIŃSKI.

## K O Ń.

Z CYKLU: „WIEŚ”.



Ktoś powiedział, że hodo-  
wła koni to poe-  
zyza gospodar-  
stwa.

Istotnie.

W samej poe-  
zyzi tego do-  
wód. Zaczyna-  
jąc od tej, co  
się w pieśń lu-  
dową uskrzydli-  
ła, a kończąc na  
rapsodach ry-  
cerskich, wszę-  
dzie koń, wier-  
ny

pracownik rolnika, dzielny towarzysz żołnierza,  
występuje i łączy się z czemś dla serca bardzo  
miłym, bardzo drogiem, bardzo kochania godnem.

A zwłaszcza koń „swego chowu”, wsi pol-  
skiej nieodłączna ozdoba.

W koniu kochają się wszyscy.

Kocha zalotny parobczak, pokrzykujący o kra-  
kowiaku, „co to miał koników siedem, sześciu do  
dziewczyny, a w stajence jeden”, kocha smutna  
dziewczyna, nucąca: „Kary konik w lot biega, aż  
się echo rozlega”, kocha stara niania, przyspiewu-  
jąca paniczom o doli żołnierza, któremu „konik  
mógł nóżką grzebie”.

Kocha cię lud polski, kocha cała ziemia  
nasza!

Bo koń to symbol jakiegoś szlachetnego  
porywu, jakiejś tężyzny, to cząstka historycznych  
zmagania, to jakby żywy akord wielkiej pieśni, co  
w duszy naszej brzmi bez końca, brzmi z pokole-  
nia w pokolenie i śpiewa.

Śpiewa tętentem husaryi, z mohortowskiego  
na szlakach ukraińskich stada śpiewa, i som-  
sierskiej szarzy, i z czwórki, w lejce zaprzężonej,  
i od pługów śpiewa.

„Pałasz”, tarant Czarnieckiego, białonóżka,  
„Szumka”, co pod Lipskiem nosił „honor Polski”,  
śliczna legenda o Koniuszy, krakowskie wesele  
Kossaka, brandtowskie bieguny, kara czwórka Cheł-  
mońskiego, dzianety Pawliszaka, mickiewiczowski  
„Farys”, chłopski mierzyn, czy nawet drewniany  
kasztanek jakiegoś Stasia jeden rodowód mają  
i jedno źródło.

Jest coś w duszy polskiej, co się z koniem  
zrosło, w krew weszło, co marzeniem do dziś na  
koniu siada i „rozuściwszy myśli”, do dziś „z wia-  
trem idzie w zawody”!

I żadna poezja w świecie nie ma tylu „ry-  
mów z konia”, i żaden naród takiego herbarza, jak  
„Historia konia” Czapskiego, nie posiada.

I bogdaj z narodów Europy my będziemy  
ostatnim, co *zsiądzie z konia*, co się towarzysza  
doli i niedoli historycznej wyrzecze.

Mimo czasów przedziału, mimo pługów paro-  
wych i samochodów, mimo pary i elektryczności,  
mimo całej praktyczności naszego wieku, koń po-  
zostanie zawsze w dziedzinie swojskiego piękna,

pozostanie tą poezją wśród utylitarnych przejawów  
życia.

Nie wyrzeknie się go ani ten chłopek, pod-  
tykający „gadzinie” od ust własnych odjęte, ani  
rolnik, ani artysta, ani choćby ten tłum, cisnący się  
na wyścigi.

Bo i w nim, wśród wielu innych, mniej szla-  
chetnych pobudek, drga jakaś nuta „z konia”.

Wyprzęgnięty z pługów, pozbawiony rzędu  
i siodła, zastąpiony trybami maszyn, będzie nosił  
wspomnienia, jak nosił wieki całe zjawę i sławę  
polską.

I będą brzmiały śpiewki o „siwym koniku”,  
i gadki, i powiadania, choćby takie, jakie mnie  
swego czasu powiadał na przyźbie stajennej stary  
furman z furmanów, Jan Żóraw.

Stary furman z furmanów, Jan Żóraw, na  
łaskawym dziś chlebie we dworze. Woził niegdyś  
dziedzica w *końkury*, teraz czwórce już zradzić  
nie może, więc o kucach ma jeno staranie i pa-  
niczów do konia zaprawia...

W całym dworze pan, pani, panicze: „Dziad-  
ku!” mówią na Janka Żórawia.

Dziadek krzepko się trzyma i zdrowo, cho-  
ciaż siódmy przeminął mu krzyżyk. Nosi wasy,  
kręcone z węgierską, i przy kurcie z galonem koł-  
nierzyk. W liberyjnym kaszkiecie na bakier, z krót-  
ką trzcina, za cholew zatkniętą, od świtania po  
stajniach się kręci w dzień powszedni, czyli też we  
święto.

Młodszych w wielkiej utrzymuje ryzie, i stan-  
greta ma nawet na oku!

Z własnej woli pojenia dogląda, przy sypa-  
niu jest także obroku. Niechno tylko zobaczy  
co złego, niech kto szkapę odsedni z batoży... Od  
siarczystych! wnet naklnie dziadulo, a i trzcina,  
bywało, obłoży!

Nie pomoże traktament tabaką, nie pomogą  
wymówki, wykręty... Gdy kto nieme pokrzywdzi  
stworzenie, stary Żóraw jest strasznie zawzięty!

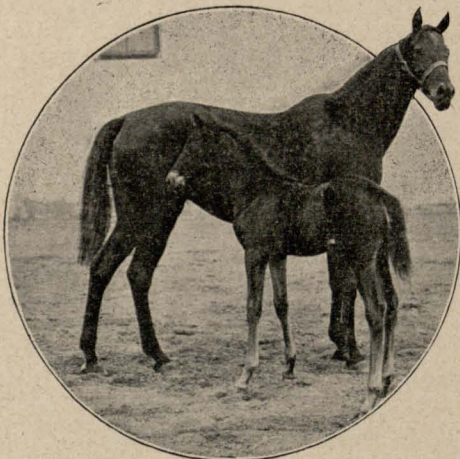
Bo też w koniach się kochał od młodu! siła  
czwórki przerzucił przez ręce! i wierzchowych!

Ot... „Łyska” naprzykład, na niej kwiaty za-  
woził panience. Co dzień drugi, z bukietem  
w galopie... Takie były ówczesne *końkury*! Boże-ć,  
Boże! dziś z „Łyski” ni śladu! a panienka ma...  
synów i córki!

Starszy panicz już klusa poradzi, kiedy ze  
szkół przyjedzie na lato... Już mu nawet i kuc  
nie pasuje!

Żóraw kłaczkę objężdża sroką... Tęga bę-  
dzie z sroką wierzchówka...

Mój Ty Boże! jak to ten czas płynie... Toć  
sroką po ślubnej „lejcowej” i, jak matka, o krót-



kiej pęcinnie... Takusienka, jak ona, „lejcowa”: zad  
szeroki, a w krzyżu, jak ula! czterech żróbków  
oddała rok po rok, żaden nawet na żart nie za-  
kula!

Stary Żóraw pamięta, jak dzisiaj, i „swasz-  
łową” z olbrzymim *fajerem*! bez popasu, bywało,  
mil dziesięć wozów pana jeszcze kawalerem...

Stary lubi wspominać te czasy i z lubością  
o wszystkim rozprawia, zwłaszcza kiedy panicze  
do stajni zajdą w goście do „dziadka” Żórawia.

Wtedy furman z furmanów, Jan Żóraw, czap-  
kę z głowy przed dziećmi dziedzica, stare kości

wyżeją, jak może, stąpa z nogi prościutko, jak  
świeca!

Gadu... gadu... o „siwych”, o „karych”...  
O tem byłem, co go już nie zgoni...  
— Mówcie, dziadku!

Dziadek kończy z żalem:

— Teraz niema ni ludzi, ni koni!  
I łzę rzewną rękawem ociera,  
Nim na wasy zdążyła mu dociec.  
— Takiej czwórki—powtarza—nie znajdzie,  
Jaką na ślub paniczów miał ocieci!...

Hej! wspomnienia! rymy z konia!

KAZ. LASKOWSKI.

KAROL ALGERNON SWINBURNE:

## TRYADY.

I.

Co mówi lazuram słońc zorza,  
Co wiatr mówi morskim rozdołom.  
Co mówi księżycu blask mrokom,  
Któż o tem wie?

Przecz lubą motylom jest róża,  
Przecz lubą jest góra sokołom,  
Przecz lubą jest tęcza obłokom,  
Któż powie mnie?

Co śpiewa łzom rosy łan zboża,  
Co śpiewa lipowy liść pszczołom,  
Co śpiewa głąb wyżyn urokom,  
Któż pojmie je?

II.

To, co kwiecień odsyła do maja,  
To, co maj zaś oddaje czerwcowi,  
A co czerwiec lipcowi przesyła,  
Niby urodzin dar.

Czem się zorza w dnia czarach upaja,  
Czem uśmiecha się dzień południowi,  
Czem piosenka westchnieniu jest miła,  
To łamie życia gwar.

Ach, nikt nie wie, co przeszłość zataja,  
Jak kosztowną miesięcznych jest nowi,  
Jak bolesną jest przemian ich siła,  
A każdy chce znać ich czar!

III.

Czem jest miłość życia fal do brzegu  
Miłość brzegu do fal mrących toni,  
Czem jest miłość do skier błyskawicy  
Złoto-purpurowej—

Nie poznamy, choć włos będzie w śniegu,  
Po kres życia, co się we łzach trwoni  
I, ach, w dziwnej trawie się tęsknicy  
Do deski grobowej.

Do tej tajni, gdzie kres tajń szeregu,  
Tego mroku, w którym słońce płonie  
I zagasa w wieczorów ciemnicy—  
Lub w świt błyska nowy!

Przeł. ANTONI LANGE.



## Młoda muzyka w Krakowie.

W szerokich sferach naszego społeczeństwa, które z Krakowem stykają się tylko bardzo rzadko i przelotnie, ma on ustaloną opinię, tylko jako skarbnica naszych najdroższych pamiątek narodowych i jako ognisko sztuk plastycznych. Inne rysy fizjonomii kulturalnej Krakowa zacierają się w odległości i stanowią przedmiot „odkryć” wobec szerokiego ogółu naszego.

Do takich rysów należy bezsprzecznie krakowska kultura muzyczna. Wiadomo powszechnie,

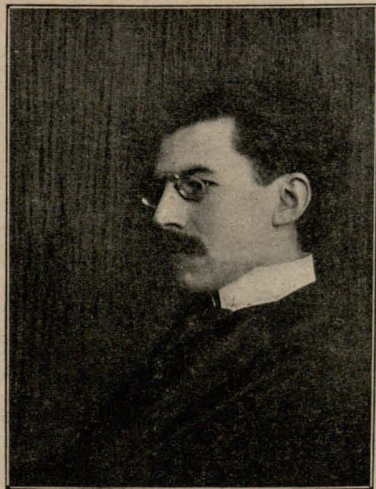


Michał Świerzyński.

że ongi ta dziedzina twórczości ducha ludzkiego i piękna była w Krakowie bardzo pracowicie i szczęśliwie uprawiana. Pod dumnymi sklepieniami katedry wawelskiej, we wspaniałych komnatach zamku królewskiego i w domach patrycjuszów krakowskich rozbrzmiewały stale krzepkie melodie i śmiałe harmonie naszych kompozytorów, których dziś jeszcze słucha się z przyjemnością wielką i zajęciem żywym.

Wraz z upadkiem Krakowa upadła także i jego muzyka. Przewspaniały zbiór muzykaliów kapituły wawelskiej butwał przespokojnie w siedmiu pieczęciami ignoranci, apatyi i niedbalstwa opieczętowanych kryjówek. Godność kapłaństwa muzyki przeszła na kapelmistrzów wojskowych orkiestr austriackich i na rozmaitych koryfuszów przejezdnych operetek. Czasem koncert jakiś w nieodpowiedniej salce hotelu Saskiego. Raz czy dwa razy na rok popis którejś z domowych organizacji muzycznych—oto i wszystko, czem długie lata zadawała się musiał Kraków upadły i z upadku tego swojego z trudem się tylko i powolnie dźwigający.

Ostatnie lata niebywałego rozkwitu prastarej naszej stolicy zapełniły także i tę lukę, którą w kulturze Krakowa stanowił brak ognisk nowoczesnej szlachetnej muzyki. Miasto, odrestaurowane z gmachem starożytnego teatru i urządziwszy w nim jedną z najpiękniejszych sal koncertowych w Polsce, stworzyło przede wszystkim punkt oparcia, pewne trwałe miejsce w przestrzeni,



Dr. Adolf Chybiński.

bez którego nawet tak metafizyczna sztuka, jak muzyka, obejść się nie może.

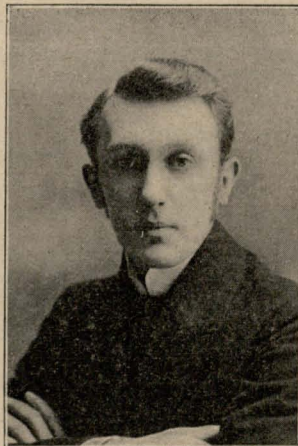
Po kilku latach znalazł się także i energiczny człowiek, który zdecydował się prawidłowo eksploatować tę przestrzeń, stwarzając „dyрекcję koncertów”, która wynajęła salę od miasta, biorąc

w swe ręce sprawę planowego urządzania koncertów kompozytorskich, symfonicznych, wirtuozowskich i śpiewackich. Organizatorem tej dyrekcji i kierownikiem jej jest p. Dropiowski, sam muzyk-amator, który ma wszystkie dane po temu, aby dzieło, przez jeden sezon chlubnie już prowadzone, poprowadzić dalej z równą zasługą dla siebie a pożytkiem dla Krakowa.

Równocześnie zaczął krystalizować się woli ten pierwiastek muzyczny, który tkwi w naszej kulturze, drzemie w polskiej duszy i dzisiaj, jak wiele innych pierwiastków tej duszy, wydobywa się na zewnątrz, szukając usilnie form nowych, swoistych i oryginalnych, i odświeżając bujną ongi wegetację na naszej niwie muzycznej. Stara kultura Krakowa, która przyciąga do siebie i przywiązuje najlepsze nasze duchy twórcze, nie pozostaje także bez wpływu i na tych twórców, których materiałem jest—dźwięk. Jest rzeczą charakterystyczną, że z młodych naszych muzyków, kto tylko może, osiada pod Wawelem, jakgdyby magnetyzowały go dźwięki królewskiego Zygmunta, lub hejnału maryackiego, jakgdyby w niezliczonych załomach nieporównanych sylwet ulic krakowskich inaczej tamał się śpiew duszy...

Faktem jest, że Kraków, który nie posiada ani opery, ani filharmonii, ani żadnego innego warsztatu wielkiej pracy muzycznej, ma jednak najżywszy ruch muzyczny, jest jedynym niemal ogniskiem rodzimej polskiej młodej muzyki. A nawet i ci jej przedstawiciele, których konieczność trzyma zdala od niego, dążą doń niemal instynktownie, czekając tylko sposobności, aby doń wrócić.

Na dowód przejrzyjmy małą galerię stałe w Krakowie mieszkających muzyków młodych i najmłodszych, nie mówiąc już o mistrzu Żeleńskim,



Dr. Zdzisław Jachimecki.

o utalentowanym kontynuatorze tradycji moniuszkowskiej, Michał Świerzyński. Oto najpierw dwaj doktorowie *rerum musicarum*, uczeni badacze i kompozytorowie zarazem, dr Adolf Chybiński i dr Zdzisław Jachimecki. Pierwszy, uczeń profesorów muzyki Sandberga i Kroyera w uniwersytecie monachijskim, zadziwia gruntownością swej rozległej wiedzy i pracowitością niezwykłą, która pozwala mu w trzydziestym roku życia poszczycić się długim szeregiem prac i studyów z dziedziny historii i teorii muzyki, tudzież kompozycji. Jako badacza, zajmuje dra Chybińskiego szczególnie stara muzyka polska z 15 i 16 wieku, a głównie pierwsi jej twórcy, jak Mikołaj z Radomia i jego następcy. W tej też dziedzinie pracuje młody uczonej najwięcej, ogłaszając ciągle nowe i cenne przyczynki do poznania historii naszej dawnej twórczości muzycznej, która tak chlubnie świadczy o żywotności kultury polskiej i jej współrzędności z innymi.

Młodszy, acz równie pracowitym jest drugi badacz, dr Zdzisław Jachimecki, uczeń Graedenera i Schoenberga w uniwersytecie wiedeńskim, w którym też przed trzema laty otrzymał stopień doktora muzyki. Poważne studia Jachimeckiego o Mozarcie, Beethovenie, Hugonie Wolfie, tudzież prace z zakresu historii muzyki polskiej zjednały mu już opinię pracownika poważnego, po którym wiele sobie można obiecywać.

Inni dwaj młodzi Krakowiacy, Bolesław Raczynski i Bolesław Wallek Walewski, zdobyli już ostrogi w kompozycji. Raczynski, uczeń Ferrariego w Monachium i Krehla w Lipsku, debiutował bardzo pomyślnie, jako kompozytor operowy, swoją trzyaktową operą „Królewicz Jaszczur” w teatrze lwowskim. Nadto z pod jego pióra wyszły

komentarze muzyczne do „Nocy listopadowej” i do „Akropolis” Wyspiańskiego, tudzież do „Księcia” Norwida. Szereg pieśni ciekawych zarówno pod względem tematu, jak opracowania, zbiorów kolend



Bolesław Raczynski.

i pieśni ludowych w oryginalnym opracowaniu, tudzież msza F-dur na chór męski dopełniają tej części dorobku twórczego młodego kompozytora, którą zna już nasza publiczność. Stanowi on pod każdym względem zadatek bardzo poważnego wkładu do skarbnicy naszej muzyki.

Bolesław Walewski, który dotąd głównie hołdował pieśni, stwarzając w tej dziedzinie przepyszne rzeczy, złożył jednak w swojej symfonii „Paweł i Gawęł”, tudzież w Suicie lirycznej dowód dostatecznych sił twórczych i wiedzy fachowej, potrzebnej do panowania nad nowoczesną orkiestrą. Przytem Walewski jest nieporównanym dyrygentem i nauczycielem chórów, to też chór akademicki w Krakowie osiąga pod jego energiczną batutą coraz wyższe, dotąd niemal niebywałe u nas stopnie doskonałości pod względem ześpiewania się i wysoce inteligentnego interpretowania utworów.

Wszyscy ci młodzi pracownicy muzyki znajdują wdzięczne pole do pracy zarówno w dyrekcji koncertów, jak też w nowo założonym Instytucie muzycznym, który obok konserwatywnego ogniskuje w sobie znaczną część muzycznego ruchu krakowskiego, urządzając w ciągu sezonu szereg wieczorów kameralnych, poświęconych zarówno starej i klasycznej, jak i nowoczesnej muzyce. Stały udział w tych wieczorach takich artystów-wykonawców, jak p. Klara Umlaufowa (fortepian) lub p. Giebałtowski (skrzypce), podnosi poziom tych wieczorów bardzo wysoko ponad zwyczajny w takich razach dyletantyzm.



Bolesław Wallek Walewski.

WŁADYSŁAW ZALEWSKI:

## PROŚBA.

Z CYKLU: „JASNE LOTY”.

O daj mi, Panie, tę moc żywiołową,  
Daj czystość lotu i taki pęd górny,  
Iżbym mógł unieść w otchłań lazuruową  
Te twoje dusze białe—z toni chmurnej...

Bym je wyskrzydlić mógł tak, iżby one,  
Gubiąc piór srebro ku gwiazdom w przelocie—  
Cicho wzrok słały i ku ziemi—w stronę  
Płaczu—w świtowym ukąpane złocie!...

Bom jeszcze, Panie, ja—Twój proch znikomy,  
Niczylej duszy nie uniósł w lazury:

A słyszę—mocy Twej huczące gromy!

A słyszę—śpiewne serafinów chóry!...

## WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Zamknięcie cyklu koncertów symfonicznych Fitelberga.—Uwagi na temat tego wykładu i pokazu.—Nieodzowność podniesienia poziomu opery naszej.—Konia z rzędem, oraz królestwo za... kapelmistrza!—„Magdalenka” w Teatrze Letnim i „Pani Mouton” w Teatrze Małym.—Wieczór jubileuszowy p. Wandy Barszczewskiej.

Dzięki p. Fitelbergowi mieliśmy w dobiegającym do końca sezonu koncertowym seryj koncertów symfonicznych, którychby się nie powstydzilo miasto, posiadające całkiem gruntowną kulturę muzyczną. Piękne to i cenne były koncerty. Celem ich było głównie zapoznanie Warszawy z poważną muzyką symfoniczną nowoczesną, zaprezentowaną nam w utworach przedewszystkiem wybitnych i typowych; celem ich następnym było wyrobienie upodobania i rozumienia tych zwłaszcza dawniejszych, a głównych dzieł muzycznych symfonicznych, które uważać wolno za podwalinę muzyki symfonicznej nowoczesnej, za związane z nią ściśle organicznie, oraz ideowo. Koncerty Fitelberga stanowiły jednocześnie: wykład, oraz inicjację.

Zarzucono programowi tych koncertów, że nie w dostatecznej mierze uwzględniła symfoniczną twórczość najnowocześniejszą—polską. Sądziłbym, że zarzut to, polegający na nieporozumieniu. Przed chwilą podkreśliłem, że p. Fitelberg nie przybył tu do nas, aby... zaprodukować ten lub ów *opus*, tego lub owego swego przyjaciela, aby, jak gazeta, informować nas o najświeższych aktualnościach muzycznych, lecz po to przybył, aby z *odpowiedniemi* dziełami w ręku przestudyować z nami kurs wyższej muzyki, bardzo skomplikowanej i trudnej do wyrozumienia doskonałego.

Zgodnie z tem założeniem, zamknął p. Fitelberg seryj niepowszednią koncertów swoich dzieł bodaj że „największem”, jakie kiedy powstało w dziedzinie muzyki symfonicznej: „Dziwiątą Symfonią” Beethovena, wyrażającą dźwiękami arcy-nastroje duchowe i arcyidee na temat filozoficzno-górnej ody Schillera:

Seid umschlungen Millionen!  
Diesen Kuss der ganzen Welt!  
Brüder!—über'm Sternenzelt  
Muss ein lieber Vater wohnen.

I rozbrzmiewające w przepelnionej sali Filharmonii w ostatnich dniach kwietnia olbrzymie koncepcje muzyczne Beethovena łączyły się najzupełniej stylowo z najnowocześniejszym impresjonizmem np. Debussy'ego, którego „Popołudniem Fauna” uraczył nas p. Fitelberg, jeśli mię pamięć nie myli, w drugiej połowie stycznia.

Juści: Debussy to nie Beethoven, a Mallarmé to nie Schiller, lecz kanon techniczny, kierunek ideowy, oraz aspiracje artyzmu muzycznego zasadniczo identyczne w Symfonii z r. 1823 i Preludium do poematu Mallarmé'go z r. 1895. Różnica w tem, że Debussy potrząsa skomplikowaną orkiestrą, siląc się na oddanie za pomocą wyrazu muzycznego majaczeń b. wodza dekadentyzmu:

Sans plus il faut dormir en l'oubli du blasphème,  
Sur le sable alteré gisant, et comme j'aime  
Ouvrir ma bouche à l'astre efficace des vins,  
Couple, adieu, je vais voir l'ombre que tu devins!  
no i słuchacz tak dobrze nie widzi zgoła w tem żadnego sensu, jak faun nie widzi nimf, trzepoczących się po gęstych trzcinach nadwodnych; zaś Beethoven... ten orkiestralnymi środkami (jakże prostymi!) budzi gmach dźwięków istotnie świątyniowy, kolosalny, dyszący jakimś potężnym, porwijącym nas duchem. Lecz—czy „Dziwiątą Sym-



BEATRICE CENCI (Muzeum Barberinich w Rzymie)

GUIDO RENDI

Obraz ten, oglądany przez Słowackiego w Rzymie w r. 1836, dał mu pomysł do dramatu o zbrodniczej i nieszczęśliwej patrycjuszce, wystawionego w dniu 30 maja r. b. na scenie Teatru Wielkiego na benefis Wandy Barszczewskiej.

fonia” wyraża akurat to, co wypowiedział Schiller w swojej odzie „An die Freude?”

Czy już zdołano rozszerzyć granice Muzyki? Bo o to chodzi. Czy stała się Muzyka pod ręką mistrzów już np. filozofią, np. sztuką plastyczną, a choćby tylko słowem? Czy przypadkiem cały ów modernizm muzyczny nie wysubtelnił *tylko* kombinacji dźwiękowych niemal do ostateczności, wysnuwając z byle temaciku, z byle idejki całe labirynty popisów kontrapunktowych i orkiestralnych?

Sery koncertów p. Fitelberga dała niektórym pozytywną na to odpowiedź; innym nie dała jej; wszystkich atoli bez wyjątku uraczyła dawno nie zaznaną rozkoszą estetyczną, która tak działa na głębię naszą duchową, jak deszcze i burze wiosenne na zastygłe przez zimę pola, łąki i lasy. Publiczność nasza uczęszczała na te symfoniczne, wcale ciężkie koncerty tak ochoczo i tłumnie, jakby nie wiedzieć na jak pikantne i modne „pokazywania”.

Czyliż p. Fitelberg rozporządzał nadzwyczajnymi jakimiś siłami i środkami, oddanymi mu na usługę? Nie, wcale; dano mu tylko: dobrą, ale srodze przepracowaną orkiestrę, pozwolono kompletować chóry „wedle możliwości”, a o żadnych solistach *extra* mowy nie było. Faktycznie przeto różdżką czarodziejską była w ręku p. Fitelberga tylko i jedynie—batuta. I okazało się: jak daleko idące cuda czynić może kapelmistrz o takiej organizacji duchowej i takimi obdarzony talentami, jak p. Fitelberg.

A choćby nawet i ćwiartkę tylko darów tych Bożych posiada! Jużby może wystarczył dla podniesienia np. opery naszej z poziomu, na który schodzi powoli.

Mniej wymagającej publiczności operowej, niż warszawska, chyba przecie na świecie niema. Dość powiedzieć, że znosi nawet panią de Anini jako Amneris w „Aidzie”—i niezliczoną ilość razy powtarzaną „Madame Butterfly”—i nieustanne nagłe zmiany repertuaru — i wprost skandaliczne „roz-

chodzenia się” śpiewaków z orkiestrą. I pomimo rozprzężenia, aż nadto w operze widocznego, publiczność gorliwie na operę uczęszcza, jak nigdy, tak gorliwie i stale. Lecz przeciągnąć strunę niezmiernie łatwo... Dla opery naszej potrzebny jest gwałtownie: kapelmistrz. Pierwszy lepszy „wybijacz taktu”, sylabizujący nuty, przed nim rozłożone, wystarczy od biedy dla mocnego, pewnego siebie zespołu śpiewaczego; dla naszych sił operowych bynajmniej nie wystarczy.

Sytuacji zaś nie uratują np. gościnne występy doskonałej śpiewaczki, p. Korolewicz-Waydowej. Nie uratuje jej sama nawet p. Sembrich-Kochańska, która ma niebawem wystąpić dwakroć w „Trawiacie” i „Cyruliku”. Systemowi gwiazd nie podoła opera nasza, a system to wogóle karkołomny. Trzeba zorganizować stałą własną operę, choćby nie pierwszorzędną, gdyż nie stać nas na to, ale w każdym razie godną—Warszawy.

Zwłaszcza zaś fatalnie odbija niski poziom opery naszej od wyraźnie podnoszącego się poziomu sceny naszej dramatycznej. Nowych sił—wszak nie przybyło. Tylko energia i zapobiegliwość wzięły się do rzeczy, co się zowie. Dodajmy i: kompetencja. Już obecnie posiadamy: dramat, komedię i krotoczwilę, godne sceny pierwszorzędnej. Nie wspominając o operetce, zawsze i oddawna wzorowo prowadzonej, a ostatnimi czasy zubożonej pozyskaniem p. Messalówny, *divetty* o prześlicznym głosie i wybornych „warunkach zewnętrznych”.

Ponieważ zaś sarkano na nieustanne młócenie oklepanej farsy francuskiej w Teatrze Letnim, tedy p. Śliwiński „wziął” i dał krotoczwilę niemiecką, w równej mierze zaprawioną pieprzem drastyczności, jak solą satyrycznego dowcipu. Ani słowa, rzecz już tem samem miła, gdyż—inna. „Magdalenka” Gustawa Dawisa chłoszcze obłudę obyczajową, świętoszkowstwo i eksploatowaną pruderyę, a obyczajem *Simplicissimus*'a wprowadza na scenę jakiegoś księcia-generała, świętoszka-birbanta. Zakrój sztuki prawie komediowy; humor ciężkawy, ale w dobrym stylu; finał mocno zabawny; gra, zwłaszcza pp. Ćwiklińskiej, Gasińskiego, Trapszy, Knapczyńskiego, wyśmienita; słowem, i wybór sztuki pomysłowy, i wystawienie wzorowe.

Jednocześnie dano w teatrze Gawalewicza premierę komedio-farsy francuskiej, „Pani Mouton”, z p. Dulębianką w roli głównej. Temat taki, że



Wanda Barszczewska w roli „Monny Vanny” w dramacie M. Maeterlincka.

piękna *demi-monde* ówka, p. Irma, zapragnąwszy nagle zmiany trybu życia, oraz wyraźnego „stanowiska towarzyskiego”, wydaje siebie za mąż za nawpół filozofa, nawpół aferzystę. Pomimo jednak ślubowania sobie, że będzie absolutnie „inną”, wraca—u ogniska domowego—do stosunku z bogatym starym baronem i szalenie przyjemnym dawnym kochankiem. Morał: czem skorupka za młodu etc., lub: natura wilka ciągnie do lasu. Wszystko razem: zręczne, dowcipne, miejscami wcale nawet pogłębione psychologicznie. Trzeba jednak było zdecydować się grać sztukę: albo komedyo-wo, albo farsowo. A—nie zdecydowano się.

Dwa słowa jeszcze. Zeszyt niniejszy *Tygodnika* wyjdzie w świat w sam dzień premiery tragedii Słowackiego „*Beatrix Cenci*”, oraz jubileuszowego benefisu p. Barszczewskiej, utalentowanej artystki naszej sceny dramatycznej. Tedy, podwójna uroczystość. Niechże ją powitam *avant la lettre*, przypominając, że Warszawiance, p. Wandzie Barszczewskiej scena nasza od roku 1884 zawdzięcza całą seryę ról bohaterskich i charakterystycznych, godnych uczennicy Rapackiego. P. Barszczewska, obok wybitnej inteligencji i szlachetnej zawsze miary, posiada dar wyposażania postaci każdej w plastykę i dosadność niepowzednie. Również psychologiczna jej charakterystyka danej indywidualności ma zawsze wysoce cenne: wyrazistość i przejrzystość. Wybór „*Beatrix Cenci*” na wieczór jubileuszowy sam już daje miarę wielkiego pietyzmu dla literatury dramatycznej, za który niewątpliwie publiczność nasza dorzuci wyraz szczerzej wdzięczności do powinszowań dzisiejszych.

CZESŁAW JANKOWSKI.

## MINIATURY.

W wielu domach polskich, posiadających tradycje rodzinne z przed kilku pokoleń, znajdują się jeszcze wśród pamiątek miniatury, wyobrażające czy to pudrowaną prababkę w stroju markizy, czy młodzieńca - pradziadka w mundurze z czasów napoleońskich. Wieje ku nam poezja od tych drobnych misternych portretów, punktowanych bądź przez zagranicznych mistrzów w tej sztuce, bądź przez polskich słynnych miniaturzystów, jak Chodowiecki, Oleksiński, Marszałkiewicz, Adolf Piwarski i Sachowicz. Wiek 18 i początek wieku 19 stają nam przed oczami, a w wyobraźni naszej rysuje się przeszłość niepowrotna, po której zostały nam już tylko te pamiątki, utrwalone na kości słoniowej i na pergaminie.

Jest ich jednak niewiele. Jest ich coraz mniej. Burze, które przeszły nad krajem, kataklizmy, które wstrząsnęły naszym życiem zbiorowem, równając z ziemią niejedno gniazdo rodzinne, lub zmuszając zubożałych potomków do pozbywania się wszystkiego, nie wyłączając rzeczy, posiadających tylko cenę dla serca, rozproszyły także i te zbiory rodzinnych miniatur, jakie tu i owdzie znajdowały się w większej ilości. Jedne z nich poszły na tułaczkę wraz z ich właścicielami i trafiły później do antykwaryuszów zagranicznych, inne—szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostały się od razu do muzeów i tam znalazły schron bezpieczny, jeszcze inne stały się łakomym przedmiotem handlu dla domorosłych kolekcjonistów-amatorów, a niewielka tylko reszta znajduje się dotąd w rękach swoich właścicieli prawowitych, skąd jednakże skutkiem nieprzewidzianych wypadków losowych przenosi się nieraz nagle do ubogiego kramiku



Marya Teresa ks. d'Angoulême, córka Ludwika XVI i Maryi Antoniny.

żydowskiego razem z wszelkimi innymi rupieciami, aby czekać tam cierpliwie na znawcę lub miłośnika sztuki i przeszłości.

Że jednak rozmaici bywają „znawcy” i rozmaici „miłośnicy”, więc przy tej operacji niejedna rzecz zginie lub wywędruje na zawsze zagranicę,



Elżbieta z Szydłowskich Grabowska, moralizacyjna żona Stanisława Augusta.

i kto wie, czy kiedyś miniatura nie będzie u nas podobną rzadkością, jak rękopis iluminowany, mszał lub ewangelia z w. XV lub XVI-go. Niegdyś posiadał je każdy kościół, każda znaczniejsza biblioteka pańska. Dziś — można zaledwie w prywatnych, małych a chaotycznych zbiorach spotkać czasem wycięte z takich mszałów i ewangelii ozdobne głoski początkowe i nadpisy na rozdziałach, a gdzie się same mszały i ewangelie podziały—nikt nie wie, do muzeów bowiem i bibliotek dostały się tylko niktłe szczątki tej bogatej puścizny, jaką przekazały nam wieki dawne. Reszta—stała się w części, prawdopodobnie, łupem wojen i pożarów, w części zaś padła ofiarą słynnego naszego wandalizmu, z którym spotykamy się nieustannie przy każdej sprawie „opieki” nad zabytkami sztuki, zwłaszcza zaś przy „odnajdywaniu” starych obrazów i rzeźb, których tyle już zbutwiało po zakrytych i na strychach plebanii.

Nie ulega też wątpliwości, że te same ręce, które potrafiły ciąć pergaminy i niszczyć stare rękopisy, potrafią także wyrzucić na śmieci niejedną miniaturę, o ile się ona do nich dostanie. A szkoda tymczasem każdej, bo, niezależnie nawet od swojej wartości artystycznej, każda z nich stanowi ogniwo, które nas łączy z przeszłością.

Te rozmaite typy, które widzimy na starych miniaturach, to nie są tylko portrety tych lub innych osób, to cała historia, cała epoka, zaklęta w jedną twarz ludzką i przemawiająca do nas po upływie lat czemś żywym, bezpośrednim, czemś takim, co *nie umiera*, ale ma moc trwania wieczystego.

Te piękne damy o cudownych oczach, delikatnych rysach, krągłych, różowych piersiach, ci młodzieńcy w żabotach i frakach, ci starcy z wstęgami orderów i gwiazdami na piersiach, ci rycerze bez „strachu i skazy”, których wizerunki zostały w rękach matek i kochanek wówczas, gdy usta, prócz modlitw, szeptały jeden tylko wyraz: *ojczyzna*—to obraz wielkiej, przełomowej chwili dziejowej, to z jednej strony upadek narodu, orgia zabaw i szal bezpamiętny, miłości i swawola, wykwiut powierzchowny i pustka wewnętrzna, z drugiej—ocknienie się pierwiastków bohaterskich w duszy narodu, dźwięk pobudki bojowej, nieśmiertelny mazurek Dąbrowskiego i w ślad za nim nieśmiertelne czyny szabli i lancy polskiej, to ten bezprzykładny w dziejach, śmiały odruch, który księcia Józefa przeniósł wprost z parkietów salonowych na pole sławy, który tempo menueta w całej Polsce zmienił na takt marsza żołnierskiego i z filuternych zdobywców serc niewieścich i rozkoszy znikomej uczynił zdobywców Somo-Sierry, okrytych wawrzynem chwały wiekopomnej.

I oto dlaczego jedna miniatura, jeżeli się

umie patrzeć na nią, wystarczyć może za cały poemat, wywołując w marzeniu korowód postaci, składających się na dokładny obraz epoki. A taki orszak mar, wskrzeszony widokiem jednej twarzy, jednego oblicza, na którym czas położył swoje piętno, nie przejdzie obojętnie przez żadną duszę, ale zostawi tam swoje ślady dobre i piękne.

Kto zna chwile głębokich i tajemniczych wzruszeń, jakie ogarniają widza w galeryach zagranicznych, a zwłaszcza we Florencji, gdzie znajdują się cudowne zbiory miniatur, kto przeżywał te momenty, w których nagle na widok jednej pary oczu i jednego profilu jawiło mu się w wyobraźni prawdziwe życie odległych wieków, z całym bogactwem swoich barw i tonów, z całym swoim urokiem i z całą treścią wewnętrzną—ten niewątpliwie przyklasnąłby myśli urzędzenia u nas, w Warszawie, specjalnej wystawy miniatur z końca 18-go i początków 19-go wieku.



Stanisław Sołtan, marszałek nadw. lit. 1758—1836. Min. J. Peszki.

To, co posiadają właściciele zbiorów prywatnych, zażdośnie jest strzeżone, to, co jest w posiadaniu rodzin, zgoła jest niedostępne. I jedno, i drugie jednak, przy odpowiednich staraniach, mogłoby się znaleźć na wystawie, a w połączeniu z tem, co użyczyliby na ten cel antykwaryusze, utworzyłoby kolekcję bogatą i ciekawą.

W odpowiednio na ten cel urządzonym salonie, przy stylowych meblach, wśród których nie powinny zabraknąć ani brzęczącego szpinetu, ani gitary na spłowień wstążce, wystawa taka przeniosłaby pokolenie na chwilę o 100 lat z okładem współczesne na chwilę o 100 lat z okładem wstecz i ożywiła w nim tę tradycję, która obecnie wędruje i zrywa się coraz łatwiej, ku szkodzi duszy narodowej, osiągając pełny swój rozwój tylko wówczas, gdy przeszłość z teraźniejszością spina się w niej w jeden węzeł nierozwalny i święty.

Ta przeszłość do niedawna żyła w każdej niemal rodzinie, słyszeliśmy o niej z opowiadań, kochaliśmy ją w postaciach, opromienionych uczuciem naszych matek i ojców.

Dziś przysypuje ją zwolna popiół niepamięci. Nie trudno jednak wskrzesić ją, bo w głębokich pokładach serca polskiego trwa ona jeszcze i trwać będzie zawsze.

Z. D.



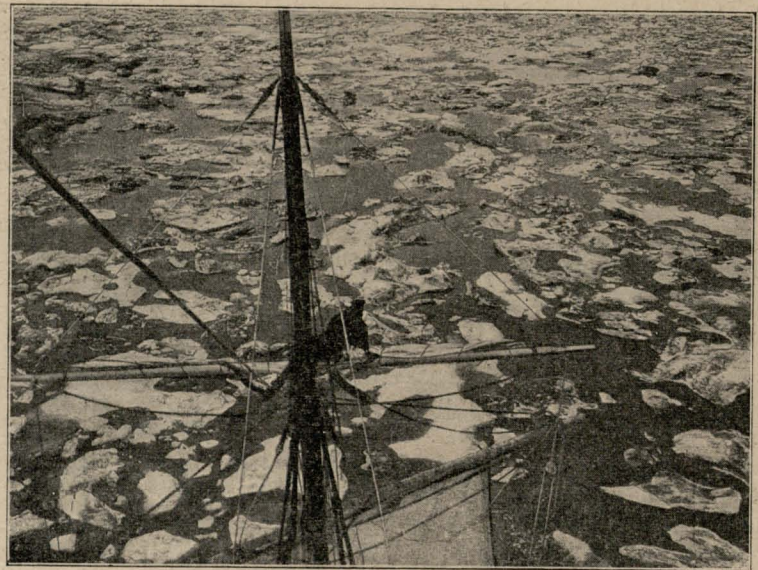
Tadeusz Kościuszko.



Oficer huzarów z 1803 roku.



„Belgica” wśród lodów u brzegów Nowej Ziemi latem 1907 roku.



Z podróży podbiegunowej.

„Belgica” przemyka się wśród zwalów lodowych.

## DO BIEGUNÓW.

Przed kilku tygodniami zelektryzowała świat uczony wieść o śmiałej wyprawie porucznika Shackletona, który dotarł do 88°23' szerokości południowej, inaczej mówiąc, znajdował się tylko o 111 mil angielskich od bieguna południowego, tak upragnionego celu tylu nieustraszonych żeglarzy. Jeszcze krok jeden, a cel ten zostanie narazie osiągnięty—po tylu usiłowaniach trudnych, niemal męczeńskich.

Coś pociąga urokiem nieprzepartym duszę ludzką ku zaczarowanemu królestwu zimy i jego zaklętym stolicom, owym tajemniczym punktom, które nazywamy końcami osi ziemskiej, 90-tym stopniem.

I byłby może ten niezwykły wypadek więcej jeszcze zwrócił uwagi inteligentnego ogółu, gdyby nie jednocześnie rozgrywane się zdarzenia na Wschodzie europejskim, które serca i umysły w inną skierowały stronę.

Bohaterski czyn Shackletona przywodzi nam na myśl długi szereg śmiałych żeglarzy-zdobyców, którzy od końca XV wieku kierowali nawy swoich statków na morza podbiegunowe, posępne dziedziny wiecznych lodów, kilkumiesięcznego dnia i kilkumiesięcznej nocy, białych niedźwiedzi, pingwinów, zorzy borealnej i szkorbutu.

Ocean arktyczny o wiele dawniej był nawiedzany, jeszcze za czasów Ptolomeusza, który mianem krańca świata, *Ultima Thule* ochrzcił Islandię, ową wyspę „zieloną”, krainę gderliwej Hekli i jej nie mniej porywczej kumoszki Krabli, jak się wyrażają obrazowo tamtejsi mieszkańcy.

Zrazu szło o cele czysto praktyczne: o odkrycie przepływu północno-zachodniego (od Grenlandy do cieśniny Beringa), oraz północno-wschodniego (od cieśniny Beringa do Norwegii), któreby mogły służyć za drogi handlowe. Od wyprawy braci Cabot, Wenecyan, w r. 1497, upłynęło cztery stulecia, zanim północne brzegi Ameryki, oraz Syberii zostały po raz pierwszy okrążone. Pierwszej z tych podróży dokonał, płynąc ze wschodu na zachód, R. Amundsen w latach 1903—6, drugiej—na „Vedze” w roku 1878—1879 Nordenskiöld i Palander.

Ale niebawem idealniejsze cele nęciły zaczęły wytrwałych podróżników. I oto przez trzy stulecia z górą arktyczne pola lodowe były widowiskiem dramatów straszliwych, w których energia, męstwo, cała potęga ducha ludzkiego ulegały w wal-

ce z nieubłaganim żywiołem. Droga do bieguna północnego usiana jest kośćmi śmiałków, co odważyli się niebaczenie targnąć zastłonę, zakrywającą oblicze bóstwa tajemniczego. Od Gilberta, który poniósł śmierć na wybrzeżach Grenlandy w roku 1593, od Henryka Hudsona, co w 14 lat później poszedł za nim w drogę życia wiecznego, od Franklina i Croziera, którzy w 1846 wraz z całą załogą ze stu przeszło ludzi znikli bez śladu w lodowcach Arktyki, aż do nieszczęśliwego André'go, który z dwoma towarzyszami wyruszył w roku 1896 w podróż napowietrzną do bieguna—i nie powrócił już nigdy z tej śmiertelnej wyprawy, ciągnie korowód białych mar, „jak kamienie, przez Boga rzucone na szaniec”.

Pierwszy wyłom w tym niezdobytym, zda się, szanccu uczynił przed kilkunastu laty rozgłośny na cały świat marynarz norweski, Fridjof Nansen, który podczas trzyletniej swej wyprawy arktycznej (1903—6) dosięgnął najdalej wysuniętego, jak

tycznych. Biegun południowy dopiero w końcu XVIII w. zaczął pociągać niezmierzonych odkrywców. Szczyci się za to, że pierwszy żeglował w jego okolicach słynny Cook (trzy wyprawy, poczynając od r. 1773).

Antarktyk za to daje i nam powód do dumy. Bo oto zaszczyt pierwszego przezimowania w jego niegościnnych przestworach przypadł w udziale słynnej „Belgice”, pod wodzą dzielnego marynarza belgijskiego, Gomery de Gerlache, w latach 1897—1899. A na pokładzie „Belgiki”, która, obok „Frama” nansenowskiego, jest najśłynniejszym statkiem podbiegunowym, przebywało dwu naszych rodaków: Arctowski i Dobrowolski.

W latach 1901—4 odbywa się kilka jednocześnie ekspedycji antarktycznych: szwedzka—starego wilka morskiego, Nordenskiölda, szkocka—Bruce'a, francuska—Charcot'a, angielska—Scott'a, niemiecka—Gausza. Każda z nich poczyniła mniej lub więcej ważne odkrycia; żadna wszakże nie stanęła tak daleko, jak Shackleton.

Dodać należy, że w obecnej chwili przemyka się między krami Antarktyki statek „Pourquoi pas”, który pod wodzą Jana Charcota dziewięć miesięcy temu opuścił port Punta Arenas.

Heroiczne czyny załogi „Belgiki” przypomniły nam się niedawno z powodu pięknego wydawnictwa p. t. „La revanche de la banquise, un été de dérive dans la mer de Kara” (Paryż, 1909). Dzieło to, świetnie pod względem typograficznym wydane, wyszło z pod dostojnego pióra pretendenta do tronu Francji, ks. Filipa Orleańskiego, a jest dziennikiem podróży, odbytej na „Belgice” latem 1907 r. dokoła brzegów Nowej Ziemi. Dzielny podróżnik krwi monarszej, prawnuk „mieszkańskiego” króla, Ludwika Filipa, syn Filipa hrabiego Paryża, brat stryjeczny również zapamiętałego odkrywcy, ks. Henryka, który w roku 1889—90 dokonał śmiałej wyprawy w głąb Tybetu, nie pierwszy raz puszcza się na groźne fale i pola lodowe Arktyki. Już bowiem w roku 1905, na tejże „Belgice”, pod wodzą tegoż kapitana Adryana de Gerlache de Gomery, zwiedza południowo-wschodnie brzegi Grenlandy.

Uboicznie podajemy kilka reprodukcji z ciekawszych ilustracji tego dzieła, oraz z dziejów wyprawy antarktycznej Nordenskiölda.



Akcyja ratunkowa. „Belgica” przychodzi z pomocą statkowi wielorybniczemu.

naówczas, punktu 86°14', zrazu na swoim słynnym „Framie”, a potem na saniach i nartach, samowót z porucznikiem Johansenem.

Nie jest to jednak ostateczny kres docierań ludzkich do bieguna północnego. Jednocześnie niemal z Nansenem żegluje w oceanie Lodowatym północnym Jackson (1893—6); w kilka lat później Cagni, przywódca ekspedycji, zorganizowanej przez ks. Ludwika Amadeusza Sabaudzkiego, dosięga 86°33' szerokości północnej, a w r. 1906 Amerykanin Peary, płynąc ze Smithsund, zatyka flagę gwiazdzistą na 87°6'...

Dalej na północ stopa ludzka nigdy nie sięgnęła.

Krótsze znacznie są dzieje wypraw antark-



Do bieguna południowego Wyprawa Nordenskiölda 1901—1904 r.



Edhem pasza, minister wojny, wzywający zbuntowanych żołnierzy do spokoju.



Mufta, podburzający żołnierzy przeciw młodoturkom.



Cudzoziemcy w opałach, podczas zaburzeń w Konstantynopolu.

## Na szerokim świecie.

*Turcja i Persya.—Wkroczenie wojsk rosyjskich.—„Nacjonaliści” i Młodoturcy.—Różne skutki tych samych przyczyn.—Anglia i Rosya w Persyi.—Podwójna gra.—Początek końca i koniec początku.*

Na czele numeru podajemy artykuł ogólnej treści o wypadkach na Wschodzie. Pisany przed tygodniem, okazuje się w części faktycznej potwierdzonym przez ostatnie wypadki. Młodoturcy są panami Konstantynopola; sułtan Abdul Hamid utracił tron. Ale—niestety—ostatnie słowo należy do mocarstw. Nie zostało jeszcze wyrzeczone.

Wypowiedziano je w stosunku do innego państwa mahometańskiego—do Persyi. I za słowem nastąpił zaraz czyn: wojska rosyjskie przekroczyły granicę. Rząd petersburski uzasadnia ten krok w oficjalnym komunikacie koniecznością obrony Europejczyków w nieszczęsnym Tebryzie oraz oddziaływaniem fatalnym anarchii na pobliską granicę rosyjską. I zapowiada, że okupacja jest tylko tymczasowa, że wojska ustąpią, skoro tylko w Persyi przywrócone zostaną rządy legalne.

Pamiętamy wszyscy zajęcie tymczasowe Egiptu przez Anglię, a Bośni i Hercegowiny przez Austryę. I tu, i tam tymczasowość okazała się niezwykle trwałą. Wolno zatem na drugą część komunikatu spoglądać z pewnym sceptycyzmem.

Chcemy wierzyć, że Turcyi nie spotka krok podobny. I to ze względów kilku. W Persyi walczą o wpływy dwa tylko mocarstwa, Rosya i Anglia, i pierwsza daje swoim wojskom rozkaz wymarszu w porozumieniu z drugą; ognisko rewolucyjne jest blisko granicy, wykonanie więc rozkazu łatwe. I łatwiejszy do stłumienia ruch rewolucyjny, niż w Turcyi.

Rzecz ciekawa, że historyczne wypadki w obu wielkich państwach mahometańskich przypadają na chwilę zapomnienia o dzielących je różnicach wyznaniowych. Pod wpływem jednakich niebezpieczeństw ze strony tych samych wrogów, a także budzącej się solidarności religijnej, wyższej ponad sekciarskie podziały, prowincya Azarbejdżanu zaczyna silnie ciężać ku Turcyi; serca „nacjonalistów” perskich i „młodych” Turków do taktu biją pod wpływem tych samych reformistycznych uczuć.

Dlaczego te same przyczyny wywołały inne skutki? Dlaczego te same ideały odrodzenia zwyciężają nad Bosforem, a ponosić muszą porażkę w Persyi? Dlatego, że w rozwoju cywilizacyjnym Persya jest daleko mniej posunięta, aniżeli Turcyja, o całą większą odległość od ośrodków cywilizacyjnych Zachodu. Położenie w Persyi podobne jest do stanu Turcyi z czasów Midhata baszy.

Dążenie do ograniczenia władzy absolutnej monarchy pod wszystkimi szerokościami geograficznymi występuje na widownię życia w skutek tych samych czynników, mianowicie w skutek jej

nadużyć. Obserwowaliśmy to zjawisko także i w Persyi, gdzie ruch konstytucyjny również nie datuje z dnia wczorajszego.

Przebieg jego spotykamy już w r. 1892, za rządów szacha Nasr-ed-dina. Syn jego, Musaffer-ed-din, zmuszony był nadać Persyi konstytucję. Zaraz po tym akcie umarł. Brat jego, szach obecny, Mohamed-Ali, już przy wstąpieniu na tron na konstytucję przysięgał. Ale, kiedy wzmógł się na siłach prąd reakcyjny, skorzystał z pierwszej sposobności wewnętrznych rozterek, aby 24



Ks. Reszad, brat sułtana Abdul Hamida, którego Zgromadzenie Narodowe proklamowało sułtanem Turcyi, pod mianem Mahometa V-go.

czerwca r. z. nie tylko *medżilis* rozpędzić, ale nawet zburzyć gmach, w którym obradował, by ni śladu po znienawidzonej reformie nie zostało.

Snadniej jest jednak mury z ziemią zrównać, aniżeli zatrzeć ślady gruntownych zmian w umysłach ludzkich. Od tej chwili niszczą Persyę w ciągu dziewięciu miesięcy zamieszki wewnętrzne, a na północno-wschodniej granicy, w Tebryzie i okolicy zagnieżdżyła się rewolucya. Ostatni ogniwem w łańcuchu wypadków jest wczorajsza okupacja rosyjska.

Na dworze szacha zawsze dwa przemożne ścierały się wpływy: Anglii i Rosyi. Współzawodnictwo tych mocarstw istnieje tylko na Wschodzie; w Europie sprzecznych interesów nie mają. Starem marzeniem polityki rosyjskiej, spadkobiercy przypadkowego genialnych planów Napoleona,

jest podciąć konary potęgi angielskiej w Indjach a droga z Petersburga do Indyi na Persyę prowadzi Stanowisko Rosyi było o wiele dogodniejsze. Anglii było bardzo trudno zapobiegać wzmagananiu się jej wpływów na południe państwa szacha. Ale przyszła wojna japońska, a z nią konieczność zaniechania daleko idących planów azjatyckich. Wielu polityków londyńskich uważa, że Anglia niedostatecznie wyzyskała położenie, że porozumienie brytańsko-rosyjskie, podział sfery wpływów obu mocarstw na północną i południową było dla Anglii niekorzystne.

W stosunku do spraw wewnętrznych Persyi porozumienie nie było szczere. Anglia, stara bojowniczką liberalizmu, domagała się wyraźnie przywrócenia konstytucji. Gabinet petersburski prowadził grę podwójną: pod naciskiem sojusznika popierał jego życzenia, konsul rosyjski w Tebryzie uchodził za sprzymierzeńca wodza rewolucjonistów, Sattar-Chana, a równocześnie pozwalano na wybryki oślawionego pułkownika Lachowa, wodza przybocznych kozaków szacha, chwilowego dyktatora Teheranu, a pośrednio Persyi.

Czy więc wojska rosyjskie, zmierzające do Tebryzu, można uważać za sprzymierzeńców Sattar-Chana i rewolucji? Z oddali, w braku szczegółów, sądzić trudno. To pewna jednak, że ta interwencya, pomimo nieznacznej ilości wojsk, pomimo wszelkich zastrzeżeń, jakimi opatruje ją komunikat urzędowy, jest ze stanowiska międzynarodowego wypadkiem stokroć ważniejszym, niż rewolucya w Konstantynopolu. Bo to jest czyn, a mocarstwa nad Bosforem nie wyszły z okresu obserwacyjnego. Jako krok, przedsięwzięty z pewnością w porozumieniu z Anglią, zawiązaniami międzynarodowymi nie grozi. Jest prosto początkiem końca Persyi. Czy będzie zarazem końcem początku jej ustroju konstytucyjnego?...



Rewolucyoniści perscy, broniący się w Tebryzie.



## CHORAĞIEW PERSKA.

Ziemia Iranu, gdzie—jak mówią—był Eden biblijny i skąd podług zdania uczonych rozeszły się plemiona aryjskie, owa kolebka ludów, dziś będąca w okresie upadku, stanowiła długie stulecia państwo obszerne i potężne, łączące Europę z Azją.

Tu powstała niegdyś religia podniosła, której prorok, Zoroaster, ogłosił kult dobra, światła, słońca. Dwaj bogowie—Ahryman i Ormuzd, niby Białobóg i Czarnobóg starożytnych Słowian, walczą o panowanie nad światem. Już to światło, już to mrok zwycięża, ale ostatecznie kiedyś, w przyszłości bóg słońca zawładnie nad materią i duchem i nastanie wiekuiste królowanie światłości.

Dlatego starożytni Persowie ponad wszystkie bogi czcili słońce na niebie i ogień na ziemi: stąd się do dzisiaj zowią czcicielami ognia. Arabowie zdeptali religię Zoroastra, Persya przyjęła Islam, ale część wiernych dawnej religii do dziś ukrywa się po tajemniczych górach i dolinach; wierni Allahowi zowią ich Gwebrami, t. j. niewiernymi.

Walkę dwóch pierwiastków sprzecznych tłómaczyć można, jako zobrazowanie zjawisk natury, ale z drugiej strony jest w niej wspomnienie walk niepamiętnych, jakie ludy Iranu toczyły oddawna z plemionami sąsiedniego Turanu. Iran—to państwo Ormuzda, Turan—dzielnica mroku, Ahrymana.

Pamięć walk Iranu i Turanu przetrwała wszystkie przemiany, jakim w ciągu 30 wieków ulegała Persya; przechowała się ona śród ludu, jako tradycja narodowa, i przystroiła się w najjaskrawsze barwy fantazyi wschodniej. Arabowie i Islam zniweczyli zewnętrzne formy dawnej religii, ale jej ducha istotnego zniweczyć nie mogli.

W X i XI stuleciu po Chrystusie, w czasie najwyższego rozkwitu Islamu w Persyi, w czasie też odrodzenia jej potęgi politycznej, zjawiał się w Persyi poeta, *Abul Kasim Mansur* imieniem, przewany Rajskim (*Firdusi*), który, zacerpnawszy żywą wodę natchnienia z najgłębszej treści ducha swego narodu, napisał olbrzymi poemat epicki, *Szach-Nameh*, t. j. księga królów. Jeden jest tylko utwór w Europie, który z tą epopeją perską da się porównać, to nie dokończony *Król-Duch* Słowackiego. I jedna, i druga księga opiewa dzieje całego szeregu postaci nadludzkich, opromieniając wszystko fantastycznym kolorytem baśni i mistyki.

Pomimo ogromów czasu i przestrzeni, oba te poematy są jednolite: u Słowackiego łącznikiem jest przekształcanie ciągłe Króla-Ducha z jednej postaci w drugą, u Firdusiego jedność cywilizacji perskiej, utajona pod osłoną Islamu część Zoroastra. Firdusi, ur. w Khorra-Sanie (940—1020), żył na dworze Mahomeda Gasnewidy, który mu polecił napisanie księgi o królach; Firdusi pisał swe dzieło przez lat 30—i, licho wynagrodzony, satyrą pomścił się na swym panu i dwór opuścił. Zrozumiał szach swój błąd—i posłał poecie bogate dary, ale wysłańcy jego przybyli na pogrzeb poety.

Tragiczna ta historia natchnęła niejednego z nowszych poetów: Heine w „Romanzero” dał o tem śliczną balladę, a J. Łętowski na tem tle osnuł dramacik, *Firdusi*.

Chcemy tu opowiedzieć drobny ustęp z tego ogromnego poematu; urywek ten wyjaśnia pochodzenie chorągwi perskiej. Pamięć o tem sięga w niezmiernie głębokie czasy, w bajeczny świt dziejów narodu, w pierwociny mityczne walk Iranu i Turanu.

Najstawniejszym z dawnych królów perskich był Dżemszid, który wiele dobrego uczynił dla swego ludu, ale, osiągnawszy najwyższy stopień chwały i potęgi, zaczął się za boga uważać i stał się tyranem. Obrażony bóg zbudził przeciw niemu władców sąsiednich, a nade wszystko króla puszcz, Zohaka. Zohak był z plemienia arabskiego; Iblis (szatan) przybył do niego i radził mu, aby zabił swego ojca; Zohak to uczynił i podległ władzy Iblisa; zły duch wypalił dwa pocałunki na ramionach Zohaka, i każdy z tych pocałunków urodził Smoka, a Smoki karmiły się mózgi ludzkimi; dla nich więc, przy pomocy legii czartowskich, postanowił Zohak zdobyć Iran; wkrótce też znalazł wielu popleczników i nad Persją zapanaował.

Dżemszid, przerażony najazdem, uszedł i żył przez lat sto, ukryty w tajemniczej jaskini, ale nakoniec Zohak odnalazł go nad brzegami morza chińskiego i kazał go zamordować. Wówczas stał się panem samowładnym Iranu. Kilkaset lat trwało jego panowanie (u Firdusiego żywoty ludzkie liczą się na 1,000 lat), przepełnione tyranją, zbrodniami i okrucieństwem. Lud Iranu jęczał pod jarzmem, aż prorocy objawili, że Zohak będzie ukarany.

I oto zjawiał się piękny książę *Feridun*, którego ojciec był jedną z ofiar Zohaka. Mądra matka ukryła go w lesie, na górze Alborz i w ten sposób uratowała życie Feriduna. Tam, w puszczy karmiła go mlekiem swoim cudowna krowa złotoroga. Gdy uderzyła godzina przeznaczeń, Feridun z góry zstąpił i przysiągł się zemścić za narody gnębione. Jednakże Zohak, przeczuwając walkę, zmusił przedniejszych panów irańskich, aby ci ogłosili pochwałę publiczną jego osoby i panowania. Panowie ogłosili takie oświadczenie, ale kowal, imieniem Kaweh, którego 17 synów oddano smokom na pastwę, rozdarł deklarację, odpiął swój zielony fartuch skórzany i, na drzewcu go przypiąwszy, jako sztandar, podniósł do góry i wyruszył szukać Feriduna.

Feridun obległ i zdobył zamek Zohaka, ale dawny król zdołał uciec i ukrył się w Indyach; tu błąkał się po pustyni, kąsany nieustannie przez dwa smoki, których nie mógł już karmić mózgi ludzkimi i które teraz na nim samym pragnienie krwi zaspokajały. Jeszcze raz chciałby się podnieść z upadku i do stolicy powraca. Ale cały naród powstaje przeciw niemu. Zwycięzonego powieszono na górze Demavend.

Książę Feridun został królem Iranu, a zielony fartuch kowala Kaweha stał się chorągwią narodową perską.

Ten to fartuch kowala, przyozdobiony jeszcze obrazem lwa, t. j. potęgi, i słońca, t. j. światła, powiewa dziś nad ziemią starożytnego Iranu.

Dodam tu jeszcze, że poemat Firdusiego istnieje w przekładzie angielskim (Atkinsona), francuskim (Mohla) i niemieckim (Rückerta); po polsku wyszedł tylko drobny ustęp p. t. *Biszen i Menisze* pióra L. Siemieńskiego. Treść całkowita *Szahnameh* podana jest w dziele, przełożonym z francuskiego, p. t. *Epos* (Arcydziała poezji epicznej wszystkich krajów i narodów) przez A. Chassang i L. Marcon.

Dziś—znowu toczy się [walka sroga na starożytnych ziemiach Iranu, kolebki ludów. Ormuzd-słońce wolności i Ahryman-mrok tyranii, współzawodniczą o władztwo nad ludem. Kto zwycięży—przyszłość najbliższa pokaże...

Do „księgi królów” przybywają nowe, krwawe i tragiczne karty.

A. LANGE.

## Izzet Melyh Bej.

SYLWETKA.

Nie tylko objawy patriotyzmu, wyjątkowego poświęcenia spotykają się w obecnym czasie w Turcyi. Wraz z wolnością osobistą zbudziła się wolność myśli i prasy, i z przymusowego ukrycia wyłaniają się utalentowani poeci i prozaicy. Jednym z nich jest Izzet Melyh Bej, syn wysokiego urzędnika otomańskiego. Ma dziś zaledwie lat 23. Wykształcenie otrzymał w języku tureckim i francuskim, którym włada doskonale. Mając 15 lat, umieszczał



Izzet Melyh Bej.

interesujące artykuły w przeglądach tureckich, a w roku 1905 otrzymał drugą nagrodę na konkursie prozy, ogłoszonym przez *Annales politiques et littéraires*. Wszystkie redakcje w Konstantynopolu dobijają się o artykuły Izzet Melyh Beja.

W Paryżu też *Temps* drukuje jego studia o kobiecie tureckiej. Obecnie wykończył on tendencyjną powieść w języku tureckim, poprzedzoną przedmową wielkiego pisarza, Halid Zia Beja.

Młody autor jest przyjacielem Polaków i Polaki. W gazecie *Tanin* drukował nieraz przychylnie dla naszego narodu artykuły, umieszczał niektóre przeze mnie mu nadsyłane sprostowania. Ostatnim w tureckim przeglądzie literackim *Ressemli Kitab* zamieścił artykuł o Mickiewiczu i zamierza wkrótce obszerniejsze studium o naszym narodowym wieszczu napisać.

Dwa tygodnie temu trupa teatralna paryskiego teatru „L'Oeuvre” grała w Konstantynopolu jednoaktówkę p. t. „Leila”, która wzbudziła ogromny entuzjazm. W sztuce tej psychologia kobiety muzułmańskiej przeciwstawiona jest psychologii kobiety europejskiej. Wynika stąd sytuacja nowa i ciekawa. Jest to typ jedyny prawdziwy muzułmański w literaturze dramatycznej. Na przekład w języku polskim udzielił już pozwolenia autor rodaczce naszej, mieszkającej w Konstantynopolu, pani Reginie z Szymańskich André. Jest więc nadzieja, że ujrzymy „Leilę” w Warszawie, Krakowie i Lwowie.

T. GASZTOWTT.

ZYGMUNT MICHAŁOWSKI:

### Rozrzutną dłonią...

Rozrzutną dłonią wokół w świat  
Rzucałem uczuć moich kwiaty...  
Że szczęście krył mój każdy kwiat,  
Że miałem ogród przebogaty—  
Podeptał moje kwiaty

Świat.

I jestem, jako wielu z nas,  
Rozrzutnie szczodrych—sam, ubogi...  
Bo oto nadszedł żniwny czas:  
Rzucałem kwiaty—zbieram głogi,  
Samotny jestem i ubogi—  
Jak wielu z nas.

I chociaż jeszcze dużo róż]  
Nie tkniętych kwitnie w mym ogrodzie—  
Jestem, jak trwożny, czujny stróż...  
Pieszczę me kwiaty w noc, o chłodzie—  
I choć mam dużo róż w ogrodzie—  
Nie zrywam róż...



— Jutro o świcie będę w parku.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

# UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 18)

Ta zaprawna jadem karykatura jego rozmów z Krystyną zabolęła Kazimierza do głębi serca. Zbudziła w nim nawet nieznanym mu instykt drapieżny. Żeby tę kobietę, która tu idzie przy nim, mógł chwycić za gardło. —

Jednak nie tylko nie wykonał swych dzikich zamiarów, lecz całą siłą woli zmusił się do pomyślenia, jak tu się zachować, aby możliwy pożytek sprowadzić dla tej—oszkalowanej.

— Co za anomalia: chodzić po parku z księżną i rozmawiać o innej pani!—rzekł, pokazując zęby w rodzaju skrzywienia, które jednak było uśmiechem.

— Ja tak tylko mówiłam, żeby objaśnić panu to zjawisko miejscowe. Bo to

jest zjawisko. Oryginalności przynajmniej nikt jej nie odmówi. Nic dziwnego, że różnie o niej mówią. To jest raczej hołd. Kobieta, o której nic nie mówią, nie jest uczciwa, jak w przysłowiu, ale brzydka.

— Tak—gadał Kazimierz, byle coś powiedzieć—żeby dać do wyboru kobiecie piękność, albo uczciwość, pewno każda wolałaby być piękną.

— Inaczej byłaby głupia—odrzekła księżna—bo uczciwości zawsze nabyć można.

— No, nabyć...?

— Zależy od nas; a piękność nie zależy. Zresztą, wszystkie kobiety są „dranie”, jak mówią moi synowie.

Kazimierz pierwszy raz szczerze się uśmiechnął.

— Chciał pan potwierdzić? Może pań. Gdybym to powiedziała komuś mniej inteligentnemu i mniej pięknemu, toby się zgorzował. Ale pan musi to wiedzieć?

Kazimierz skłonił się głęboko, właściwie przechylił się tylko sztywno, aby ukryć swą twarz i uniknąć odpowiedzi. Ale wyprostował się sprężyście i szedł, patrząc przed siebie.

— Pan ma dziki uśmiech, już to pierwszego dnia zauważyłam.

— Daleko już od dzieciństwa, mościa księżno. Świat mi uśmiech skrzywił.

— Wcale nie. Chyba poprawił? Tak pan wygląda bardziej... tryumfalnie, niżby z jakimś dziecinnym wyrazem twarzy. Pan musi być przedsiębiorczy?



— Staram się nim być w sprawach, które uznają za pożyteczne.

— A w innych, które pan uznaje za przyjemne, zabawne, albo wątpliwe?

— Staram się być uczciwy.

— To nudne słowo, panie.

— Dlaczego? W teorii oderwanej trzeba słów właściwych.

Powiódł rozwartemi oczyma po krajobrazie, w którym znajdowała się i księżna, ale oczu na niej nie zatrzymał. Pomyślała, że może on i głupi, może nie udaje...?

Zaszli do części parku, zupełnie zasłoniętej, gdzie już i gwary nie dochodziły od pałacu. Stała tam ławka romantyczna nad strumieniem.

— Usiądźmy tutaj na chwilę. Jak ta woda namawia... słyszy pan?

Księżna usiadła w samym środku ławki, zajmując dużo miejsca szeroką zawieruchą podkasanych spódnic. Kazimierz stał nad nią i patrzył teraz z uśmiechem, rżącym jakąś dziwną, lubieżną rozpaczą. Mignęły mu jej pończochy koloru ciała i falująca cielesność popiersia, rozkrzyżowanego na poręczy ławki w przezroczystym staniku, i ciemne cienie pod ramionami...

— Siadajże... pan! Cóż tak stoisz, jak kat, nade mną?

Kazimierz, zły, niemal wściekły, usiadł na brzegu ławki, jednak na falbanie jakiejś, którą niecierpliwie odrzucił od siebie. I od zapachów sztucznych, bijących ku niemu falą, zmieszanych z woniami drzew i wody, poczuł prąd, pierwszy raz doznany w życiu. Chwyciłby i powalił tę kobietę najtrywialniejszą fauniczną przemocą. I poznał zarazem przepaść, dzielącą miłość od pożądania, skoro pożądanie przychodziło mu razem z nienawiścią. Ale, jak przed chwilą nie mógł chwycić za gardło tej kobiety, tak teraz nie byłby sobą, gdyby się z nią złączył w haniebnym uścisku.

Nic nie zaszło między nimi. Po chwili ona powstała z ławki i poszła majestatycznie dalej, nie utraciwszy swej powagi zewnętrznej, swej godności księżęcej, nie pogniótszy nawet sukni.

A Rokszycki postępował obok niej z podwojonem uszanowaniem. Nawet mówili coś do siebie. Jednak ten powrót do domu był ciężki. Ujrawszy już blisko werendę, księżna podkasła suknię, bardzo przyzwicie zbierając ją w rękę, i pobiegła pędem ku werendzie, jak dziewczeczka.

## XI.

Mocno załował Chmara, że się zgodził na dodatkowe obrady w ściślejszym kółku. „Gawęda”—tak się miała nazywać i pozostać przy tym charakterze—przedłużyła się nadmiernie. Apolinary Budzisz dobył z siebie i z kieszeni liczne wystąpienia, wątpliwości, notatki, broszury, wypisy nawet z dzieł tomowych. Hieronim i Kazimierz podejrzewali go, czy nie chce tutaj odbyć generalnej próby swego odczytu o Unii, o którym każdemu pod sekretem się zwierzył, aż już wszyscy niemal uczestnicy zebrania wiedzieli o projekcie. I gawęda zwieniła się w for-

malną sesję pod kierownictwem nie gospodarza domu, lecz Apolinarego Budzisz, z porządkiem dziennym niewyczerpanym, tkwiącym w głębiach dokumentnie nabitego działacza z Korony. Póki jeszcze obracano się w ogólnikach, w sądach historycznych—bo i takie wy dobył z siebie Budzisz—zebranie było spokojne. Chmara nalegał tylko, aby skracać, chodził po pokoju, otwierał okna dla przewiewu, jakby chciał wywietrzyć niepotrzebne zdania. Ale pan Apolinary przechodził do zagadnień palących, do programów politycznych—i jakoby proces chciał wytaczać Litwie. Co gorsza—w gronie zebranych mężczyzn zaczęły się objawiać niby magnetyczne zbliżenia, niby barwy i stronnictwa. Co wreszcie gniewnie usposobiło Chmarę, to spostrzeżenie, że z liczby tych, których miał za swych stronników i niemal poddanych, jeden, drugi, już i kilku skłaniało się do przeciwnej barwy gości z Królestwa. Assernhoff, Hieronim Budzisz, nawet Hylzen słuchali ich przychylnie. Gdyby urządzić głosowanie, kto wie, czy Chmara z Fedkowiczem i paru ziemianami *minorum gentium* nie zostaliby pobici? Ale do głosowania, do kategorycznej uchwały nie dopuszczał pan Eustachy stanowczo.

Śród najgorętszej rozprawy o autonomii Litwy etnograficznej, oznajmiono, że wieczera podana. Towarzystwo męskie, nadasane i odęte polityką, przesypywało się do sali jadalnej, gdzie spotkało grono kobiet, pogodnie ziewających. Młodzi Zasławscy, zmachani doszczętnie całodzienną włóczęgą po rojstach za cietrzewiami, spali, stojąc i siedząc. Do jadalni, razem z pułkiem mężczyzn i niewywietrzałą z ubrań wonią cygar, weszły jeszcze dowodzenia, repliki i objekcje. Mówił Wiktor Hylzen:

— Dyskusja o autonomii Litwy takiej, o jakiej marzą rzecznicy odrodzenia Litwy, ma tę stronę niewinną, że można być za nią lub przeciw niej bez różnicy dla przyszłości. Bo takiej autonomii nigdy nie będzie.

— Przepraszam...—zaczął już ktoś, ale mu pan Gotard przedstawił kieliszek wódki dla zamknięcia wymowy.

Ożywienie osób przy wieczerzy można było porównać do źle nastawionego samochodu, który, mimo szeregu drobnych wybuchów, stoi na miejscu. Wybuchła, choć tłumiona, polityka; wysuwały się dystygowane pomysły dyalektyczne Hylzena, zarty Assernhoffa, błagi Fedkowicza, ale coś urzekło wesołość i swobodę. Księżna, pełna wyjątkowej godności, siedziała między Chmarą i Hylzenem, który po drugiej stronie miał przy sobie panią Krystynę. Apolinary i Kazimierz dostali miejsca przy beznadziejnie obojętnej Chmarzynie i Chmarzankach. I wlokła się wieczerza nie tylko nudna, lecz naładowana jakąś źle wróżącą elektrycznością. Jedyny Hylzen, który nie cierpiał hałaśliwej rozmowy, czuł się dobrze w uspokojonej atmosferze, zwłaszcza że miał obok siebie dwie wybitne panie. Bawił je z całych sił, ale obie były roztargnione.

Pan Apolinary chciał po wieczerzy konieczności powrócić do gabinetu, choćby na pół godziny, ale wyperswadował mu Chmara:

— Pan, którego przecie widziałem przy robocie, wie dobrze, jak się robi polityka: we dwie, we trzy głowy. Dyskusje w przypadkowych zebraniach prowadzą tylko do rozpowszechnienia haseł, albo i plotek politycznych. Do popularyzacji są gazety, wiece, odczyty...

— Odczyty—mruknął Budzisz w porozumieniu z samym sobą.

— A gdy chodzi o porozumienie co do rzeczy głównych, tylko, jak mówię: we dwie głowy. Jeżeli da Bóg, spotkamy się w Wilnie lub w Warszawie, miło mi będzie poufniej rozmówić się z panem. Inaczej nieco mówi się na zebraniu, inaczej między wódmami. To pan wie?

— Bywa tak, bywa, dobrodzieju mój—uśmiechnął się pan Apolinary, połączony przyjemnie.

— Nie jest to hypokryzja, ani sztuka żadna, prosta przezorność.

Uśmierzywszy tym sposobem starszego koroniarza, Chmara mierzył uważnie okiem młodszego, który go coraz bardziej zastanawiał. Wydał mu się przy pierwszym poznaniu zwyczajnym salonowcem, potem bardziej indywidualnym, dzisiaj już pewną siłą, z którą wypadało się liczyć. Parę przemówień się Rokszyckiego do dzisiejszej „gawędy” przyprowadziło Chmarę do tego wniosku. Rokszycki mógł należeć do nieprzejednanych narodowców. Był jeszcze młody, co prawda, i nie polityk z zawodu. Ta jego kwitnąca młodość nie uspokajała zwłaszcza Chmary.

Kazimierz miał dzisiaj rozstrojone nerwy z wielu powodów, a zwłaszcza dlatego, że doszedł z Krystyną do tej mety w serdecznym porozumieniu, u której pragnie się już koniecznie być we dwoje, bez świadków. Tak się zresztą zaczęła ich dziwna, postępująca, jak burza, znajomość. Teraz poznawał po kolei różne siły nieprzyjazne, odgradzające go coraz baczej od Krystyny.

— Księżna—rozumim: przez zazdrość i zemstę kobiecą. Jej synowie?—może z powodu czcigodnej instrukcji macierzyńskiej? Ale Chmara?—Tego nie pojmuję. Już mi przy wieczerzy wyznaczono miejsce obok Niej, kiedy Chmara osobiście zmienił... Wszystkie te osoby, działające widocznie przeciw Niej i niemu, naznaczał swą nienawiścią.

I doprawdy, nie mógł tego wieczora trzech słów, nie dosłyszanych przez kogoś, zamienić z Krystyną; do księżnej zaś, która trzymała ją przy sobie nieodłącznie, przysiąc się nie chciał. Już ta grupa wydawała mu się nieznośną, a rozmowa tak we trójkę—gorszą od milczenia. Jeżeli zaś Krystyna wstawała, albo i wychodziła do innego pokoju, Miś i Beno towarzyszyli jej, jak dwa drabanty, trzymające ją pod strażą. Widział tylko zdaleka oczy jej, na których nie miała maski, bynajmniej nie łagodne, owszem, coraz energiczniej błyszczące, i wargi tak ruchliwe, jakby między te dwa członki czerwonego kwiatu wpadł jakiś przekorny robaczek, trudny do usunięcia.

Zdarzyło się, że księżną zajęła na chwilę rozmowa z Hylzenem, a młodzi Zasławscy włóczyli się po salonie. Kazimierz zaś przy-

padkowo sam stał pod oknem. Krystyna powstała szybko i cicho, jak wstająca fala, i w kilku posuwistych krokach była już przy Kazimierzu.

— Ach, jak tu duszno!—szepnął na jej spotkanie.

— Jutro o świcie, o czwartej, będę w ogrodzie—rzekła dobitnie.

Kazimierz zdążył odpowiedzieć tylko wzrokiem, gdy Bernard Zasławski poprostu pędem, a wreszcie długą szlichtadą po posadzce dopadł do rozmawiających.

— A nie! tu nie las! nie będziecie gadali sami, tu i nam się coś należy—zaprottestował naiwnie, bez dyplomacji.

— Beno!—zawołała głucho Krystyna i ręką z wachlarzem trzepnęła krótko przez powietrze, jakby okazując chęć skuteczniejszego użycia wachlarza.

— Bij, a nie odstanę—odrzekł Beno i skrzyżował ręce.

Cóż było robić? Rozmiano się i powrócono do wzorowego układu salonu.

Ale, dostawszy tak cennych kilka słów, Kazimierz zapragnął je rozpamiętywać w samotności, skoro tu obcowanie z Krystyną było tak nieznośnie skażone przez oczywistą znowę. Było jednak wcześniej jeszcze, nikt się nie oddalił na spoczynek. Kazimierz usiadł sam w przyległym oświetlonym pokoju.

— Przeklęte formy światowe! Za drobny pożytek, który przynoszą, ile w nich więzów dla pragnień najczystszych! A jak na nich grać umieją te najpodlejsze ręce! Co za klawiatura dla wirtuozów oszukaństwa—jaki wygodny ściek dla pozłoconych brudów... A Ona w tem wszystkim jest...

(DCN)

FRANCISZEK DE NION:

## Portret duszy.

Roger de Fresneuse miał już opuścić salę malarstwa, gdy wzrok jego padł na płótno niemal ukryte w cieniu. Ani koloryt, ani też rysunek nie zwiastowały mistrza, miernota jednak malarza nie mogła pozbawić głowy, którą pragnął odtworzyć, piętna rzadkiej i pociągającej urokiem piękności. Podeszedłszy do obrazu, Roger podziwiał czoło czyste, oczy harmonijne pod łukami brwi prześlizczonych, naiwność bojaźliwą usteczek, a zwłaszcza zgodną całość rysów, uzupełniających się i tłómaczących same przez się, streszczających i uwidoczniających duszę.

— Czysta i prosta!—zawyrokował szczęśliwiec, sentymentalny jeszcze, pomimo trzydziestego piątego roku życia.

Zajrzał do katalogu i przeczytał: „Jovine, portret”, a u spodu nazwisko i adres artysty: „Henryk Fare, uczeń Farjeanta, 132 ulica des Moines”, poczem wyszedł rozmarzony na pola Elizejskie, pełne radości odradzającej się wiosny.

De Fresneuse próbował już życia i uznał, że jest niezłe, jakkolwiek trochę ckliwie: był wybredny. Dosty bogaty, aby nic nie robić, używał leniwie tego przywileju, nie bez odczuwania czasem długości nużącej godzin bez celu. A jednak ileż to spraw może zająć i opanować umysł ludzki! Sprawy te rozrywały go zaledwie. Nie posiadał pożądan być może dlatego, że był zanadto dumny. Skoro zakochał się, naprzykład, umysł jego analityczny wystawiał mu z góry wszyst-

kie fazy rodzącej się namiętności. Tworzył sobie przez to świadka zbyt krępującego, aby nie zaprzestać wysiłków dalszych. Nudził się więc i zamyslał już wmówić w siebie chorobę dla znalezienia podniety do działaności jakiegokolwiek, gdy oto dnia tego gwarne otwarcia salonu sztuki odkrył portret Joviny.

Opanowała go chęć nieprzeparta poznania dziewczęcia, którego obraz wywołał tak ciche uczucie szczęścia w duszy jego.

\* \* \*

De Fresneuse zszedł ze schodów, wiodących do pracowni Henryka Fare'a, z głową bardziej pochyloną, niż wówczas, gdy na nie wchodził. Przyszedłszy tam, aby zasięgnąć informacji o osobce, przedstawionej na portrecie, napotkał ze strony malarza opór tak opryskliwy, że uważał za stosowne nie nalegać więcej. Co prawda, i przyznał to w duszy, postąpił niedyskretnie, boć



Młode dziewczę, trzymając w ręce szkatułkę malarską, dążyło krokiem lekkim przez salę.

portrecista, nawet talentu miernego, ma prawo do zachowania tajemnicy zawodu. Gniewała go nie mniej skrupulatność malarza. Inny zawód czekał go jeszcze u handlarza obrazów i starożytności, Izaaka Metzgera, dokąd zachodził czasem, aby zająć się targowaniem starzyny. Izaak znał dobrze Henryka Fare'a, ale nie cenil go wcale.

— A jednak—rzekł Roger—portrecista to wcale zręczny. Naprzykład ta główka, wystawiona w salonie...

— Ależ, panie baronie—odparł handlarz—człowiek ten nigdy, jak żyje, nie malował portretu! Ta główka to bazgranina! Malował ją z modelu.

Ścisnęło się serce Rogera pod wpływem gniewu bolesnego. A więc to czoło słodkie, te oczy czyste, ten owal delikatny, należały do istoty wynajętej, stanowiły twarz banalną, pozującą po tyle a tyle na godzinę!

Ulęę sprawiło mu takie sprofanowanie marzeń własnych, ale jednocześnie uczuł złość względem Izaaka, wyszedł więc od niego, nic nie kupiwszy, i skierował się ku salonowi.

Tu zatrzymał się długo przed obrazem Fare'a.

Monologował:

— Być jednak może, że dziewczyna to bardzo uczciwa. Widać, że pozuje tylko do głowy. A może to krewna jego. Wszak Izaak mówił, że Fare mieszka z matką i siostrą. Jestem pewien,

że rysy te nie są rysami dziewczyny ordynarnej... a jeżeli tak jest, to chyba musiałbym zwątpić o duszy, co byłoby przykre...

Ręka czyjaś spoczęła na ramieniu zamysłonego.

— Znasz Fare'a?—zapytał Armand Leubel.

— Zaledwie. Dlaczego?

— Od kwadransa stoisz przed płótnem jego dość miernem.

— Bo twarz ta jest śliczna.

— Nie znasz więc Tartiny, zwykłej modelki Fare'a? To jej portret, ale niepodobny.

— Zrobił z niej zjawisko urocze.

— Tak, to jej rysy, a jednak to nie ona. Dzisiaj Tartina nie jest modelką. Wykierowała się na gwiazdę tinglową. Tańczy w Excelsiorze.

De Fresneuse zapamiętał tę informację. Tego samego wieczoru mimowoli, odruchowo, przekroczył próg tinglu i zasiadł w pierwszym rzędzie krzesel.

Niebawem Tartina zjawiła się na scenie. Rogera przeszedł dreszcz na widok jej, unoszącej się lekko na nogach zgrabnych, wśród blasków jaskrawych rampy. Przyłożył szybko lornetkę do oczu i wpatrywał się długo w postać, zajmującą od dni paru myśl jego do tego stopnia, że zapomniał nawet o nudach, normalnym stanie swoim.

Ale rozczarował się bardzo. Sprzeczność pomiędzy obrazem, w duszy wymarzoną, a rzeczywistością była tak rażąca, że omal nie rzucił lornetki.

Prawda, te same rysy, te same linie twarzy, te same cechy, pomimo grubych warstw szminki, a jednak Leubel miał słuszność: podobieństwa żadnego! Zamysłony spoglądał długo na ruchy wyuzdane i głupie tancerki, marząc o portrecie.

\* \* \*

Dnia pewnego, gdy stał przed obrazem, przypatrując się główce uroczej, doznał uczucia dziwnego. Zdawało mu się, że mignęła przed oczyma jego twarz Joviny prawdziwej. Lecz zjawisko przeszło, jak mgła przechodzi po toniach morskich. Rzucił się za postacią odchodzącą. Młode dziewczę, trzymając w ręce szkatułkę malarską, dążyło krokiem lekkim przez salę. Miał je szybko i stanął zdziwiony. Miał przed sobą refleks, odcień, wyraz twarzy obrazu, który męczył go, a zarazem porywał.

Tak, to zmieniona, pojęta inaczej ta główka urocza, to czoło tak słodkie, te usta tak czyste, wszystko prawdziwsze, niż sam portret... Mimo to całości tej, odkrytej tak niespodzianie, nie można było nazwać piękną. Przepaść dzieliła dziewczę od Tartiny... A przecież czuł, że to ona, ta inna, ta prawdziwa!

— Jovine!—zawołał ktoś za nim.

Odwrócił się. Fare w towarzystwie pani starszej wiekiem, zapewne matki, wołał na dziewczę. Gdy, zawróciwszy, mijano Rogera, zdawało mu się, że czuje tchnienie marzenia.

\* \* \*

I de Fresneuse rozumiał, gdy stał się narzeczonym czułym Joviny, że, przenosząc na płótno dokładnie kształt rysów modelki, Fare pragnął uwidocznic w nich duszę siostry swojej. Ta twarz piękna stanowiła tylko maskę duszy innej, duszy niezrównanej i uroczej, której treść i wyraz artysta zmaterializował na obrazie.

— Przez niego odgadłem ciebie—mówił do Joviny, spoglądając na portret tak mało i... tak bardzo podobny do dziewczęcia.

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.



## O NAIWNYM ANGLIKU,

KTÓRY PO INFORMACYE O MEBLACH POLSKICH ZWRACA SIĘ DO MYLNYCH ŹRÓDEŁ.

Wyrosła od pewnego czasu na naszym bruku, „echt warszawska konkurencja” nie przebiera w środkach.

Wzięta źródło ze źle zrozumianej walki o byt i z pogoni za krótkowzrocznym „geszef-tem”. Taki konkurent nie rozumie pewnika, iż tylko drogi proste i jasne prowadzą do celu, chwytą się więc manowców, bałamuci opinię publiczną, a pomiatając poważnymi współzawodnikami, jedynie dla doraźnego grosza, nawet nie zdaje sobie sprawy z krzywd, jakie podobnym traktowaniem sprawy wyrządza przemysłowi krajowemu.

Konkurencja, o jakiej mowa, nie kusi się o przedstawianie danej sprawy w należytem świetle. Wywraca więc koziołki cyrkowe, mąci powagę przemysłu, naraża na szwank interesy danego odłamu pracy społecznej, a sprawy publiczne stara się, za pomocą środków reklamowych oraz insynuacji, podciągnąć pod własne korzyści.

Smutne te refleksje przejęty mnie po przeczytaniu w dziale ogłoszeń płatnych Nr. 15 *Tygodnika Ilustrowanego* wywodów wrzekomego „Anglika o meblach polskich”.

Szanowni czytelnicy zgodzą się ze mną przedewszystkiem na pewniki następujące.

Przedstawiciel narodu, słynącego z praktyczności, jeżeli istotnie pragnie zasięgnąć wiadomości o stanie i obecnym rozwoju naszego przemysłu meblowego, nie będzie się zwracał do firm drugo i trzeciorzędnych. Najniezawodniej nie będzie polegał na pośrednictwie bezkrytycznego, pierwszego lepszego „Cicerone'a”, lecz zwróci się o wiadomości do fabrykantów wykwalifikowanych, którzy zaszczytnie rozwijają przemysł rodzimy i utrzymują wielkie zakłady, cieszące się ustaloną opinią długoletnich odbiorców. Anglik rozumny i działający celowo, skoro chodzi mu o poznanie danej gałęzi polskiego przemysłu, nie pójdzie, jednym słowem, do składników, lecz do producentów, którzy, utrzymując liczny zastęp wyrobionych pracowników, poczuwają się do obywatelskiej odpowiedzialności za rozwój fabrykacji.

Jakże mi żal straconych zabiegów mister Ralfa Morai'a, który, wzorem turystów, wyklutych w wyobraźni pisarzy libret operetkowych, przyjechałszy do Warszawy dla poznania

Odpowiedź na ogłoszenie w N-rze 15 „Tygodnika Ilustrowanego”.

przemysłu meblowego, wpada w ręce przewodnika, wynajmowanego na kursy, zwiedza składy tandety, sprowadzanej z Niemiec, i już na mocy tego... wyrabia sobie litości godne pojęcie o całokształcie fabrykacji mebli w naszym mieście.

Wielka szkoda, iż ów Anglik nie postąpił według rad, wyżej wymienionych.

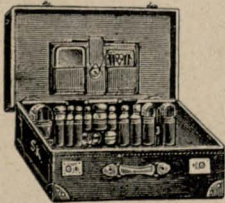
Zwiedzając składy meblarzy fachowych, przekonałby się, iż przemysł nasz stoi na wyżynie rozkwitu. W fabrykach, prowadzonych przez fachowców, ujrzałby ogromny wybór mebli, wykonanych z najlepszych materiałów, nabywanych ze źródeł swojskich lub, w miarę potrzeby, zagranicznych. Obejrzałby zapasy drzewa i innych materiałów, rysownie i albumy modeli, przyjrzałby się naszemu rzemieślnikowi przy pracy.

Jego oczom przedstawiłby się dobór mebli w rozmaitych stylach, dostosowanych do ostatnich wymagań estetyki, zbytku i praktyczności.

Wtedy zmieniłby poglądy na meble polskie, a i jego zachwyty nad składem „echt warszawskiego konkurenta” znacznie osłabłyby.  
STANISŁAW FRANKOWSKI.

NADESŁANE.

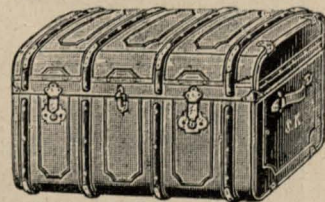
**MEBLE**  
**ZAŁĘSKI i S-ka**  
Warszawa, Erywańska Nr 2,  
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



**STANISŁAW KRAUSE i S<sup>KA</sup>**

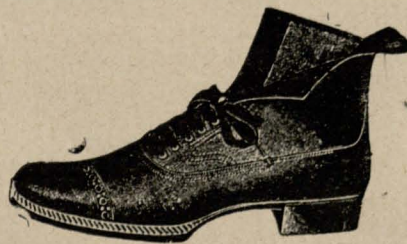
FABRYKA I MAGAZYN  
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)  
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



**SERDECZNÉM ŻYCZENIEM**

każdego jest delikatna, czysta twarz, rumiany, młodzieńczościwy wygląd, biała jedwabno-miękka skóra i oślepiająco-piękna cera. Wszystko to daje  
**Mydło z mleka liliowego „Konik“**  
wyrobu Bergmann & S<sup>KA</sup>, Radebeul - Drezno, z marką ochronną Konika. Wszędzie dostać można po 50 kop. za sztukę. Główny skład na Państwo Rossyjskie:  
Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.



**Płaszcz, Peleryny,  
Obawie amerykańskie**

poleca magazyn nowości

**ZDZIŚLAW ZDANOWICZ**

10 Krakowie, ul. Sławkowska 13

**KALODONT**

Niezbędny krem do zębów  
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.

Żądać wszędzie

**W. CYBULSKI i S-ka**  
Warszawa, Nowo-Senatorska 7.  
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

Telefon  
60-29

**GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY**  
D-ra **ROBERTA BERNHARDTA**  
ordynatora szpitala św. Łazarza  
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54  
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rent-  
gena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Ar-  
sonwalizacją. Choroby weneryczne.

**MAGAZYN KRAWIECKI**  
**SZWAŁBE SACH i S<sup>KA</sup>**  
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY  
GOTOWE i NA OBSTALUNEK  
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19  
dom własny

# S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Polecą: Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

## SERWISY STOŁOWE

Rub. 35, 40, 45, 50, 55, 60, 65 i t. d.  
SKŁAD I WŁASNA MALARNIA PORCELANY,  
SZKŁA I FAJANSU  
STANISŁAWA GORSKIEGO,

Nowy-Świat 37. Tel. 3631. Proszę zwrócić uwagę na firmę i adres  
Poleca ogromny wybór serwisów stołowych, platerów, szkła, majoliki, terrakoty. Ozdoby do mieszkań i ogrodów. Własna malarnia wykonywa artystycznie całkowite wyprawy ślubne oraz fotografie wieczne na porcelanie. **UWAGA:** Każdy kupujący serwis porcelanowy otrzymuje **bezpłatnie komplet dobrego szkła na 12 osób.**

## PASTILLES

DE

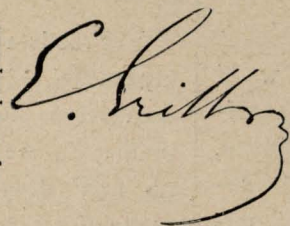
# TAMAR INDIEN GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
PRZECIW  
OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpięciem



Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomyślne wyniki w tej mierze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że można spowodować

## porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiadają esencja i MYDŁO „TATARO-CHMIELOWE”, wyrabiane w Centralnym Laboratorium Chemicznym (Czekay i Kryszewicz) w Warszawie przy udziale sił Lekarskich. Sprzedaż w składach aptecznych.

## HOTEL SAVOY

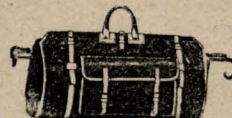
W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

## E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26  
Telefonu 167.49.

## Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcyjna Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32 Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

### Od Administracji.

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., album

### „Duch-Rewolucjonista” Antoniego Kamińskiego

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)  
” ” w ozdobnej oprawie ” 10.— (rb. 4)  
Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się ” 1.— (kop. 60).

## POŁAGA

pensjonat Laury Walewskiej, willa „Świtez” nad brzegiem morza. Pokoje, wygodnie urządzone, od 50 kop. do 3.50 dziennie, sezonowo od 30 do 150 rubli, kuchnia wykafelowana, całodziennie utrzymanie rub. 1 kop. 75, w „Świtez”.

Wynajem mieszkań z kuchniami w willach hr. Zofii Tyszkiewiczowej. Warszawa, Hortensya 5, m. 8. Telefon II-10, od 4 do 6.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE  
ORGANY, MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa, Krak.-Przed. 17

**LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671



## Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.



## ODPOWIEDZI.

P. H-man. Wierszyk Pański nie ma żadnej wartości literackiej. Pyta Sz. Pan, czy warto nadal się zajmować. Pisać liche wiersze—szkoda czasu, ale czytać arcydzieła poezji rodzimej i obcej i na niej uczyć się poznawać własne błędy — zawsze warto.

P. Kr. Wiersze Pańskie nie będą drukowane w Tygodniku, choć nie są bez pewnych zalet.

Agni. Nowelki p. t. „Krwawa toń” nie wydrukujemy z powodu niedostatecznie wyrobionej formy literackiej. Rękopis do zwrotu.

Jamais assez. W wierszach Sz. P. widoczny jest brak wprawnej ręki w doborze i ustosunkowaniu środków artystycznych. Wobec tego trudno dziś jeszcze powiedzieć cokolwiek o zdolnościach i ich przyszłości.

**PATENTY**  
NA  
WYNAŁAZKI  
Włodarkiewicz  
i Sieklucki  
Włodzimierska 16,  
Egz. od 1886 r.

## Magazyn Sukien i Okryć Damskich Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

HURTOWY I DETALICZNY  
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

## LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

**Bracia ŁOPIEŃSCY** POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

Michał Jasiński i S-ka w Warszawie, Skład maszyn i potrzeb młeczarskich. Biuro techniczno-młeczarskie Artysty hodowlane, gniotowniki do owsa, żyta i jęczmienia. Szatkownice do jarzyn. Maszyny do bielienia i dezynfekcji. KRAK.-PRZEDM. 7 i t. p. Przedstawiciele firm: Sveaseparatoru—Stokholm. Simona-Frères - Cherbourg, Chr. Hausen—Copenhaga i t. d. Sprzedaż i zakup masła. Katalog bezpłatnie.



## IDEALNY POKARM

dla niemowląt i dla dorosłych,  
dotkniętych chorobą żołądka.

MACZKA MLECZNA